

OBRAZ ROZWOJU GOSPODARCZEGO NA NIŻSZYCH  
STOPNIACH KULTURY<sup>1)</sup>.

Nie jest rzeczą łatwą dać obraz rozwoju gospodarczego na niższych szczeblach kultury. Trudność polega na niezmiernie licznych a odmiennych jego wątkach. Na szczeblu tzw. dzikości plemię, tj. odrębna społeczność różniąca się mową i zwyczajami od każdej innej, wahała się pod względem liczby członków swoich od paru set głów do paru tysięcy, przy czym liczby bliższe wyższej granicy właściwie dotyczą już zbioru paru plemionek („narodów“ w terminologii A. W. Howitta). Na łądzie północno-amerykańskim, a więc na wyższym szczeblu kultury, rozmiary plemienia poczynają się przy takiej samej niższej granicy, w średnim wahały się około 2.000 głów, i wyjątkowo dosięgały kilkunastu tysięcy głów. W końcu, w okresie bezpośrednio wyprzedzającym powstawanie organizacyj państwowych, plemię urasta w rozmiary, przy czym obok niewielkich plemion, takiej wielkości jak plemiona czerwonoskóre, piętrzą się ogniwa większych rozmiarów aż — wyjątkowo — do liczących paręset tysięcy. Właśnie szczepy rozpadające się na mniejszych rozmiarów społeczności mają być przedmiotem naszego wykładu.

Ale stosunkowo nieznaczne, a niekiedy wprost małe społeczności dzięki tym swoim rozmiarom są widownią niezmiernie

<sup>1)</sup> Maszynopis niniejszej pracy został przesłany przez autora w 1938 r. prof. Fr. Bujakowi, redaktorowi „Historii społecznej i gospodarczej”, której tom II (średniowiecze) wydany został w 1938 r. przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich. Artykuł śp. prof. L. Krzywickiego miał być wstępem do tomu I poświęconego historii społecznej i gospodarczej w starożytności pióra prof. Tadeusza Wałek-Czerneckiego. Ponieważ nie jest rzeczą prawdopodobną, aby dzieło to w dającym się przewidzieć terminie mogło się ukazać w druku, wydajemy osobno wstęp do tego tomu, będący ostatnim ujęciem historii rozwoju gospodarczego w jego początkach najznakomitszego polskiego znawcy społeczeństw pierwotnych.

napiętego działania wpływów natury „przypadkowej” lub czynników o statecznej naturze, lecz zmiennych na niewielkiej przestrzeni. Np. w Australii zasady obowiązkowego podziału zwierzyny, przyniesionej przez myśliwego, pomiędzy członków jego rodziny, a więc kto ma dostać prawe żebro, kto lewe, kto prawą łopatkę, kto lewą tylko nogę itd., oraz co każdy z otrzymanej części swojej winien oddać rodzicom lub teściom, kształtowały się odmiennie bodaj w każdym plemienu w stosunku do każdego gatunku zwierzęcego. Te zasady podziału zwierzyny w obrębie innych lądów wyglądają jeszcze inaczej. Przy próbach ujęcia tych zasad w jakieś reguły uświadamiamy sobie trudności nie do pokonania niekiedy, gdy chodzi o wywiązanie się z tego zadania. Wprawdzie wybraliśmy przykład tym wadliwy, że jego natura w wysokim stopniu sprzyja spotęgowaniu wpływów „przypadku”. Ale także trudności występują również, gdy chodzi o wyłuskanie statecznych, a więc nieprzypadkowych czynników, ale zmiennych niekiedy na niewielkiej przestrzeni. Starczy wziąć leżące obok siebie dwie dzielnice: jedną będącą pod knieją i obfitującą w zwierzynę, drugą słabo uposażoną w porost drzewa, lub — jak na niektórych wyspach oceanu Spokojnego — górzystą knieję i otaczający ją pas niziny nadmorski, ubogi w produkty leśne, ale obfitujący w rybę. W każdej z tych dzielnic kształtować się będą odmiennie wszystkie dziedziny życia gospodarczego. Nawet na jeszcze wyższym szczeblu kultury, w przededniu powstania ustrojów państwowych, odmienność dróg rozwoju nie zanika: jedne ludy przechodzą do uprawy warzyw lub hodowli drzew, inne imają się pasterstwa, ażeby jeszcze później jąć się gospodarstwa zbożowego.

Właśnie ta różnorodność stosunków gospodarczych na niższych szczeblach rozwoju zmusza do wyboru wzorów najczęściej występujących i pominięcia innych rzadszych, tj. do fałszowania rzeczywistości przez uszczuplanie jej różnorodności. I nawet te wybrane wątki zostały z konieczności zgarnięte przez nas w jeden ujednostajniony obraz. Zamiast ustrojów takich, jakie istnieją w rzeczywistości, należy się odwoływać do schematycznego ujęcia rozwoju, jedynie urozmaiconego tu i owdzie jaskrawszymi przykładami wziętymi od różnych szczepli.

## I. USTROJE GOSPODARCZE W STOSUNKU DO ZIEMI I JEJ PŁODÓW

1. Stosunek człowieka do ziemi i jej płodów za myśliwstwa. „Nie będziesz stapał po ziemi cudzej”, to kiplingowskie przykazanie kniei zwierzęcej zachowuje całą moc swoją, gdy chodzi o terytoria plemienne wśród ludzkości na niższych szczeblach kultury. Wejście na ziemię obcego plemienia jest przestępstwem, za które śmiałek odpowiada życiem swoim, o ile nie wkracza na nie zaopatrzone w insygnia poselskie. Dookoła terytorium plemiennego ciągnie się zwykle pas ziemi neutralnej — przesieka. Np. Swewowie byli oddzieleni od sąsiadów swoich pustkowiami z jednej strony szerokimi na 60.000 kroków (Cezar). Ten pas ziemi, na razie bez użytku odegra w późniejszym rozwoju stosunków wymiennych pomiędzy plemionami olbrzymią rolę jako miejsce targów lub raczej jarmarków! Natomiast samo terytorium plemienne jest widownią życia codziennego — ulokowaniem źródeł jego utrzymania. Człowiek pierwotny w ciągu wieków użytkował z tego obszaru, nie formując zasad tego korzystania. Dopiero w zetknięciu z Europejczykami, wśród walki o swoje istnienie ujął w słowa swoje stanowisko, w słowa jędrne i nie pozostawiające żadnej wątpliwości: Wielki Duch, jak zaznacza J. Heckewelder o Indiach, stworzył ziemię i wszystko co ta w sobie zawiera dla dobra powszechnego całej społeczności. „Cokolwiek żyje na ziemi lub wyrasta z jej łona, cokolwiek przebywa w rzekach i wodach, wszystko to dał dla wszystkich i każdy posiada prawo do części swojej”. Lub, jak urągał wódz australski członkom komisji angielskiej: „Po co wy, biali ludzie, mordujecie czarnych, którzy was nie pojmują. Czarni nie pojmują waszych praw — każde stworzenie, które chodzi po ziemi, każdy korzeń jadalny, który rośnie w gruncie jednako należy do wszystkich. Czarny nie może zrozumieć, że zwierzę lub roślina mogą do kogoś jednego należeć... Biedne, głodne kobiety nasze przyzwyczały się do wrywania każdego korzenia rosnącego na ziemi. Kiedy przychodzą do waszych pól z kartoflami, kijami wydobywają ziemniaki i kładą do torby. Wtedy wy strzelacie do naszych biednych kobiet!”. Pomiedzy teoretykami toczy się spór, czy w zakresie stosunku człowieka pierwotnego do ziemi i jej płodów ma się do czynienia z własnością

pospólną, czy z rzeczą niczyją — bożą. Spór zgoła jałowy! Jeżeli nie wszędzie człowiek pierwotny sformułował tak jasno swoje poglądy jak w powyższych dwóch przypadkach, to przecież wszędzie członkowie plemienia mają poczucie swoich praw do zwierzyny i płodów w obrębie obszaru plemiennego, który pozostaje w stanie nieuprawnym. I to nawet na takim względnie wysokim stopniu kultury, jak u Buriatów syberyjskich: biedny wśród nich przychodząc do bogatego o pomoc powiada mu: oddaj mi trawę, którą twoje bydło pożarło na stepie. Nawet *jus primi occupantis* posiada tam zastosowanie ograniczone. W zasadzie upolowana zwierzyna lub zerwane dziko rosnące owoce stają się własnością osoby, która tego dokonała. Tu i ówdzie lub w tym lub innym wypadku zasada ta nie spotyka się z żadnymi zastrzeżeniami. Lecz w większości wypadków myśliwy musi dzielić się zwierzyną i płodami roślinnymi z bliższym swoim otoczeniem, czy nawet z całym obozem. I podział taki obowiązuje nawet wśród pasterzy, choć u nich hodowane sztuki są własnością indywidualną. U Kafrów, u Jakutów, u Masajów — że spośród licznej gromady ludów wspomniemy tylko o nich — plemieńca, który zabił wołu, i w ten lub inny sposób nie obwieścił wszystkim, ażeby przebywali na ucztę, porównują do złodzieja, gdyż tylko złodziej spożywa mięso pokryjomu. Tym bardziej plemieniec będzie się dzielił produktami polowania na niższych szczeblach kultury — dzielenie się to jest często dla niego koniecznością nieodzowną, zwłaszcza tam gdzie zwierzyna jest rozproszona po całym terytorium plemiennym pojedynczymi sztukami lub parami. Podczas dzikości nie jest znana umiejętność konserwowania mięsa. Dłuższe trzymanie grozi mu zgniciem. Człowiek więc chętnie będzie się dzielił upolowaną zwierzyną, tym bardziej, że w ciągu wielu dni następnych sam może nic nie zdoła upolować, choć sąsiadom jego akurat wtedy poszczęścić się może na łowach. Trzymanie otwartego stołu, dzielenie się upolowaną zwierzyną jest wzajemną asekuracją rodzin pospołu przebywających w obozie. Przebywanie pospołu w gromadzie w ciągu nieraz całego życia stwarza tam atmosferę serdeczności, zwyczaj dzielenia się zwierzyną od wieków przestrzegany staje się obowiązującą zasadą i sprzyja powstaniu poczucia własności pospólnej. Pomiedzy zasadą takiej własności w stosunku do

plodów ziemi, a przywłaszczeniem ich sobie przez poszczególnych plemieńców istnieje sprzeczność — człowiek usuwa ją uprawiając rozległą gościnność. Gościnność ta sprawia, iż głód i nędza nie mogły istnieć w jednej części osiedla lub obozu indyjskiego, jeśli w innej była obfitość jada (Morgan). Gościnność nie jest wtedy czynem wypływającym z czyjejs dobrej woli, ale obowiązkiem społecznym. Za pośrednictwem gościnności spółnictwo, które bądź co bądź tkwi u podstawy ówczesnego stosunku człowieka do ziemi i jej plodów, dochodzi do głosu. Ale już ta okoliczność, iż jest to gościnność, że przedmioty ofiarowane lub spożywane pochodzą z zasobów będących własnością indywidualną, sprawia, że w miarę wzrostu złożoności stosunków gościnność będzie przybierała coraz bardziej charakter czyjejs łaski lub grzeczności i samo współnictwo będzie zwolna zanikało. Zbyteczna nadmieniac, iż stosunek wzajemny pierwiastków woli indywidualnej a przymusu społecznego, czyniącego z gościnności obowiązek, przedstawia możliwe odcienie, zależnie od tego jak obficie jest uposażona w płody jadalne okolica, jak silnie są rozwinięte więzy solidarności rodowej, a niekiedy nawet w obrębie tej samej społeczności plemiennej kształtują się inaczej w stosunku do każdego poszczególnego dobra. Nie będziemy odtwarzali rozmaitych ogniw tej różnorodności, ani podejmowali niewdzięcznej kodyfikacji zasad, które przywodzą tym stosunkom, tym bardziej, iż człowiek, który żyje w takim otoczeniu, ich nie formułuje. Czy nazwiemy objawy tej gościnności uleganiem spólniczej opinii ogółu, czy będziemy traktowali je jako czyny płynące ze szczerzej życzliwości i dobrego serca, czy w niektórych wypadkach traktowali jako upominki, jest to rzecz drugorzędna, nad którą mogą zastanawiać się prawnicy europejscy, lecz nie człowiek pierwotny — zresztą wszystkiego jest tam potrosze! Człowiek żyje wśród atmosfery stworzonej przez wieki, hołduje zwyczajom starodawnym, wkłada w nie większą lub mniejszą życzliwość i — poprzestaje na tym.

I stosunek plemieńców do terytorium plemiennego kształtuje się bardzo różnorodnie. Tam, gdzie zwierzyna i dziko rosnące płody roślinne są jednostajnie po nim rozproszone, ludność zaś przebywa gromadkami po kilkanaście, a co najwyżej parę dziesiątków głów, tam terytorium plemienne rozpada się na szmaty

ziemi, przypadające poszczególnym gromadkom. Tak działo się w niektórych okolicach Australii — opisy podawane przez niektórych pisarzy mówią o dziedzicznym władaniu takimi działkami, o podziale pomiędzy spadkobierców itd., słowem słusznie lub raczej niesłusznie przedstawiają rzecz w kategoriach kodeksu cywilnego europejskiego. Ale i tutaj ma do tej działki prawo każdy w jej obrębie przypadkowo urodzony, choć rodzice jego w ciągu życia swego użytkowali z innej; niekiedy są tam w plemienu miejsca, do których wszyscy mają jednakowe prawo lub właściwie prawo do wyraźnie określonych pól — nawet przedstawiciele innych plemion, np. knieja, gdzie rosną orzechy bunya-bunya podczas okresu ich dojrzałości; to znowu wśród pospólnego władania całym terytorium ukazują się zakątki, w których np. do jaj ptactwa dzikiego tylko niektórzy plemięcy roszczą prawo. Możemy śmiało powiedzieć: co plemię, to inne zwyczaje. Zgoła inaczej rzeczy się przedstawiają tam, gdzie — jak na preriach Ameryki północnej — zwierzyna przeciąga w pewnych porach roku dużymi gromadami i gdzie pojedynczy plemieniec, polując na własną rękę, niewiele upoluje, lecz przyprawi wszystkich, w tej liczbie i siebie, o poważne straty, bo spłoszy zwierzynę, która pójdzie innym szlakiem i może ominąć terytorium, na którym jego plemię urządza obławy — tutaj całe plemię włada niepodzielnie terytorium plemiennym i wyrusza gromadnie na łowy sezonowe.

A zatem kompletna mozaika różnego stosunku człowieka do obszaru plemiennego — od przywłaszczania go przez poszczególne gromadki aż do pospólnej zorganizowanej obławy sezonowej. I tak samo różne są zasady udziału w upolowanej zwierzynie, zarówno podczas obławy jak i w wypadku, kiedy występuje obok siebie parę osób, mniejsza czy w czynnej roli myśliwych, czy widzów. I w końcu rozmaicie kształtują się zasady podziału łupu myśliwskiego, zależnie od sezonu, a więc czy to jest okres obfitości, czy też przednowek, czy w końcu jest to przymusowy podział lub grzeczność i życzliwość ubrane w kształty gościnności. Jako przykład krańcowy warto przytoczyć Psie Żebra. W tym plemienu „wszyscy mogą uraczyć się z produktów sprawności i zręczności któregoś z myśliwych. Nawet nie pozostawia mu się podziału upolowanej zwierzyny.

Kiedy w obozie rozejdzie się wiadomość, iż upolowano jelenia, starcy i kobiety z każdej rodziny spieszą z saniami, a znalazłszy się w obliczu upolowanej zwierzyny, poczynają ją dzielić pomiędzy siebie, pozostawiając właścicielowi żebra — to wszystko do czego ma prawo. Otrzymuje także ozór, który odcina natychmiast po zabiciu jelenia. Kiedy polowanie bywa pomyślne, cała pospólność ucztuje i nabiera tuszy, jakkolwiek niektórzy z mężczyzn przyczynili się niewiele do dobrobytu ogólnego”.

2. Początki uprawy roślin: kopieniactwo. Nawet w okresie myśliwskim ludów, które by wyłącznie i jedynie czerpały swoje utrzymanie z polowu zwierzyny, jest niewiele. Wszystkie takie ludy należą do liczby podbiegunowych, przy czym Eskimowie zakasali współzawodników wyłącznością pokarmu mięsnego. Poza tymi nielicznymi wyjątkami, obok myśliwstwa zbiór dziko rosnących płodów świata roślinnego tworzy wszędzie mniej lub więcej poważną, a niekiedy bardzo poważną kategorię źródeł utrzymania. Tam, w okresie myśliwskim istnieją w całej pełni dzikie żniwa, tj. sprzątanie plonów z roślin dziko rosnących w określonym sezonie. Australczycy w różnych okolicach zbierają kiście roślin dających ziarno. Jedne z tych traw dają ziarno przypominające nasze proso, inna trawa nosi u osadników nazwę jęczmiennej, a takie dzikie pola niekiedy zajmują zwartą przestrzeń wynoszącą około tysiąca akrów. Indianie w dzisiejszym stanie Wisconsin i w części stanu Minesota w odpowiedniej porze roku zbierali ziarna tzw. „dzikiego owsa” (*Zizania aquatica*) — jest to okolica drobnych jezior i bagien, które porastały tak gęsto „dzikim owsem”, iż łódź z trudnością torowała sobie drogę pomiędzy szuwarami. Niektóre kobiety zbierały 5—25 buszli. To znowu istniały okolice, gdzie na znacznych przestrzeniach ciągnęły się dzikie pola korzeni jadalnych. Przyroda ułatwiała człowiekowi przejście od zbioru płodów dziko rosnących roślin do ich celowego siewu: kiedy np. szuwary dzikiego owsa na wodach Minesoty, trzebione przez człowieka w ciągu wieków, zaczęły przerzedzać się, Indianie rzucali część zebranego ziarna do wody celem zapewnienia sobie plonu na rok przyszły.

Nie wdajemy się w odtwarzanie tych dróg, po których doświadczenie prowadziło człowieka do rolnictwa, a które były liczne i urozmaicone: niewyrywanie dolnych części kłaczy ja-

dalnych, pozostawienie pewnej liczby okazów owocującej rośliny na zasiew, jak my, wycinając las, pozostawiamy niektóre sosny itd. Uprawa roślin jest tylko dalszym ogniwem takich praktyk, które są stosowane już przez najniższe szczepy, jak Australczycy i Buszmeni. Rolnictwo powoli wyrasta z dzikiego zbierania ziemiopłodów i prędzej czy później położy kres koczowniczemu trybowi życia.

I znowu niezmiernie dużo waży na tej sprawie jakość roślin znajdujących się w obrębie danego terytorium oraz stosunek tego rodzaju pożywienia do łatwości lub trudności zapewnienia sobie pokarmu mięsnego. Naturalnie, natura gleby i właściwości klimatu, jakość gatunków dziko rosnących itd. tworzą podłoże zasadnicze. Ogół tych warunków nadaje piętno odrębne każdej dzielnicy globu. W każdym razie wzrost ludności, który w okresach wcześniejszych w rozmiarach swoich kształtuje się pod przemożnym wpływem przednówek (o ile te dłużej trwają), opiera się coraz bardziej na rolnictwie, jako na umiejętności w pewnej mierze uniezależniającej człowieka od żywiołowych kaprysów przyrody. Myśliwstwo odgrywa coraz mniejszą rolę, a zamiast niego obok uprawy roli pojawia się hodowla zwierząt. Ta ukazuje się pierwotnie w imię pobudek zgoła obcych celom utylitarnym. Oswaja się zwierzęta zarówno czworonożne jak i ptactwo dla przyjemności oswojenia — a nimi voluptatisque causa, jak wyraża się Cezar o hodowli kur i gęsi w Brytanii. Chaty np. Indian brazylijskich są jak gdyby menażeriami, gdzie różne okazy ptactwa i parę gatunków zwierząt wypielęgnowane od maleństwa w gospodarstwie są jak gdyby członkami rodziny i prócz widoku swego i głosu niczym się nie odwzajemniają swoim gospodarzom. Naturalnie, najpodatniejszymi do oswojenia były zwierzęta roślinożerne, żyjące w gromadach, a więc różne gatunki bydła rogatego, owca, koza, trzoda chlewna. Pierwotnie hodowano je raczej gwoli przyjemności. Jeszcze dzisiaj hodowla bydła u niektórych ludów pasterskich Afryki ma charakter tak mało utylitarny, iż mówi się o nich, jako uprawiają sport hodowlany. Dopiero gdy rolnik pół-osiadły lub osiadły przyswoił sobie zwierzęta mogące mu przynosić pożytek swoim mlekiem lub mięsem i jał używać tych produktów na pokarm, dopiero wtedy oderwał się od trybu pół-osiadłego i zapuścił się w przestwory



stepowe. Pasterstwo jako formacja dziejowa i gospodarcza wyrosło z osiadłego trybu życia opartego o rolnictwo, przy tym nigdy nie było fazą powszechną, tj. taką, przez jaką przejść musiał każdy lud wyższej kultury. Ale rolnictwo, o którym dotychczas mówiliśmy i które zdołało oswoić zwierzęta, było rolnictwem odmiennym od naszego europejskiego, zbożowego. Polegało w zasadzie na uprawie warzyw, do której tu i ówdzie przyplątało się korzystanie z owoców dzikich drzew, a następnie hodowla uszlachetnionych odmian drzew. (Oparcie bytu społecznego na hodowli drzew, takich jak palma daktylowa, sagowa, kokosowa, drzewo chlebowe, wreszcie na hodowli pszczoł tworzy odrębną odnogę, dosyć rzadką w czystej swojej postaci, o której jedynie wspominamy nawiasowo, lecz którą nie będziemy się zaprzętaeli). Z powodu sposobów spulchniania ziemi ta formacja rolnicza otrzymała nazwę kopienictwa (H a c k b a u).

Skopania ziemi i spulchnienia dokonywano ręcznymi narzędziami, takimi jak w początkach długi kij zaokrąglony na końcu, później zaś prawzory różne motyki, w końcu motyka żelazna. Nawozy były nieznanne, co jest zrozumiałe wobec zwykle słabego rozwoju hodowli. Wielu kopieniaków nawet ze wstrętem odrzuca rady europejskie o użyciu mierzwy. Jej nieobecność już nawet na niższych szczeblach kopienictwa zastępują niezmiernie skrupulatnym spulchnianiem ziemi. Każda grudka bywa sproszkowana w palcach, sproszkowaną ziemię zgarniają niekiedy w pagórki, które w roku następnym będą całkowicie odwrócone — dół stanie się wierzchem. Nasze ogrody mogłyby tej uprawie pozazdrościć pod względem staranności. (Rzecz zrozumiała, że są to pola małych rozmiarów). Sławna chińska uprawa ziemi jest jedynie dalszym ogniwem tego pasma rozwojowego. I nie tylko pod względem samej techniki uprawy różne ludy kopieniackie wytworzyły wzory budzące podziw, ale i w uszlachetnianiu roślin osiągnęły rezultaty, które w podziw mogą nas wprowadzić. Z powodu Melanezji O. Fintsch pisze: „Tak, ci dzicy przewybornie uświadomili sobie cele uprawy”. Obfitość wytworzonych odmian jest zdumiewająca. Np. na niewielkiej wyspie Mota zebrano (R. Codrington) nazwy 80 odmian yamu i 60 drzewa chlebowego, a w okolicach zatoki Fryderyka Wilhelma niektóre okazy yamu ważyły po 12—17

funtów i miały około 2 metrów długości. W ogóle warto pamiętać, że „wszystkie zboża, ważne włókna przędzalne, wszystkie środki roślinne co pobudzają nerwy, wreszcie materiały roślinne rozlicznego użytku zawdzięczamy pracy ludów pierwotnych. Czasy historyczne nie wykryły ani jednej rośliny nowej powszechnego użytku”. W Ugandzie (Afryka) uprawiają 31 gatunki bananów, 63 słodkich kartofli, 12 kukurydzy. Naturalnie, te wyniki zostały osiągnięte po okresach czasu trwających całe stulecia. Ze zwykłego podważania ziemi kijem, rozbijania jej tym samym narzędziem, a więc uprawy prosta-czej, rozwinęło się kopieniactwo subtelne i wytworzyło całą moc odmian roślin uprawnych.

Ale uprawa nie odwołująca się do obornika, a polegająca na pielęgnowaniu warzyw, szybko wyjaławia glebę.

Rolnik zamierzchłych czasów zdawał sobie z tego sprawę — w ciągu długich wieków był rolnikiem-koczownikiem, tzn. co lat parę lub kilka wioska przenosiła się na nowe miejsca, ażeby uprawiać grunta niewyjałowione. Nadto odwoływano się do użyźniającej własności popiołu. Już koczownicy zbierający jedynie płody roślinne dziko rosnące, jak Buszmeni, a także pasterze w różnych miejscach ziemi podpalają rok rocznie suche badyle na stepie tylko celem zapewnienia sobie obfitszego urodzaju na rok następny. Kopieniak postępuje w ten sposób z lasem. Przed okresem siejby wybiera on, a właściwie całą wioska jakiś ostęp w kniei, ścina lub podcina gałęzie i podkłada ogień. Otrzymane pole nie wygląda pociągająco — opalone pnie większych drzew, jak również dolne części mniejszych sterczą na nim. Rolnik w ciągu paru lat uprawia taki kawałek, a gdy go wyjałowi, przenosi się na inne miejsce. A walka z przyrodą bywa nieraz ciężka. W urodzajnych dzielnicach sfer cieplejszych bujna roślinność zachwaszcza niebawem pole. Rolnik musi wybierać porę roku, kiedy najłatwiej jest zmóc dzikie siły przyrody. Jest niewolnikiem jednej chwili: jeżeli rozpocznie zbyt wcześnie przygotowanie lasu pod pole, chwasty na nim rozplenią się przed nadejściem siejby; jeśli spóźni się — posiewy nie zdołają dojrzeć. W ogóle musi się spieszyć. Pośpiech ten nadaje uprawie jego piętno niedoskorałości, którą niesłusznie kładziemy na karb gnuśności człowieka. A w tej walce z przyrodą ogień jest znowu środkiem,

który pomaga rolnikowi przy najmniejszym jego wysiłku uporać się z przeszkodami. W różnych okolicach Afryki, na archipelagu Malajskim, w Indiach itd. luna unosi się w pewnej porze nad krajem, jak gdyby był cały objęty pożarem. W dzielnicach np. górnego Nilu „cały kraj jest w ogniu. Dym czarny przesyca powietrze”. Na wyspie Borneo „ciężkie, czarne obłoki zwieszają się nad krajem, spowodowane przez dym, na mil wiele ciągnący się przed morzem płomieni. Wzgórza wyglądają jak wulkany, a słońce wyziera przez ten tuman dymu niby krąg miedziany”. W miarę wzrostu ludności i długich wieków gospodarstwa żarowego, knieja dawna zanika w gąszczach, a zamiast dowolnego wybierania przez wioskę miejsca pod uprawę, odbywa się rotacja w obrębie terenu porośniętego zaledwie słabym krzewem, który nie dostarcza dostatecznej ilości popiołu. Gospodarstwo żarowe z chwilą strawienia gąszczy doprowadza siebie do upadku i zmusza rolnika do wychodztwa w inne okolice lub szukania innych środków użytkowania ziemi.

3. Ustroje kopieniackie oparte na irygacjach. Warto zwrócić uwagę na kopieniactwo na terytoriach pokrzywdzonych pod względem ilości opadów. Niekiedy są to dzielnice niezmiernie urodzajne, lecz niemal pozbawione opadów. Człowiek odwołuje się do kanałów irygacyjnych, które w takim Egipcie, w obrębie dawnej cywilizacji chaldejskiej i Turkiestanu, w Chinach, w Indiach osiągnęły wysokiego stopnia rozwoju i nadały rolnictwu tamtejszemu piętno mocno odmienne od naszego europejskiego. „Pogoda jest w Europie właściwym gospodarzem, albowiem jesteśmy nędznymi niewolnikami wody i od początków włożyliśmy się do tego jarzma... Natomiast rolnik na Wschodzie wzywał się w zgoła inny tryb myśli. W warunkach przyrodzonych, rozstrzygających o wielkości plonów, dostrzega on wyłącznie wielkości statyczne i tylko je bierze pod rachubę. Jak grunt orny zawsze jest loessem, jak również światło i ciepło są z roku na rok statyczne, tak samo dostarczanie wody polom, ile jej trzeba, nie jest dziełem Opatrzności, jeno rolnika. Pole, dokąd niepodobna celowo doprowadzić wody, raczej przypomina zielony stolik, na którym odbywa się gra hazardowa”. Te urządzenia irygacyjne na wyższym poziomie swojego rozwoju w niektórych

wypadkach mogą iść o lepsze z pomnikami budowlanymi naszej cywilizacji, gdy chodzi o włożony tam wysiłek i otrzymane rezultaty. Zwłaszcza dużo wysiłku kosztuje urządzenie irygacji i następnie ich utrzymanie w oazach pustynnych. Oto dzielnica turfańska w Chinach zachodnich. Ludność zaprzęga do celów irygacyjnych podziemne żyły wody — kopie więc w odstępach 4—5 sążni od siebie studnie różnej głębokości, ale tak, ażeby ta w pewnym kierunku zmniejszała się stosownie do obniżania się gruntu. Wyzyskano naturalne obniżanie się powierzchni — oaza zazwyczaj jest niżej położona od otoczenia. Głębokość niektórych studni wynosi 40 sążni, wówczas gdy ta, z której przeprowadzony będzie kanał na pola, wynosi zaledwie jeden sążeń. Niekiedy jedna i druga setka studni jest potrzebna dla doprowadzenia wody. W miejscowości Chandu w dzielnicy turfańskiej, przestrzeń uprawna wynosząca około 15 morgów, pochłania całkowicie wodę jednej takiej podziemnej galerii mającej około 4 kilometrów długości i zaopatrzonej w 300—360 otworów studziennych. Dla przeprowadzenia tej odnogi wodnej trzeba było wydobyć 300.000 stóp sześciennych ziemi, w tej liczbie wiele dziesiątków tysięcy z głębokości przeszło 35 sążni. Obrachunek ten obejmuje tylko jedną z połaci uprawnych oazy. Dla zaopatrzenia wszystkich pól oazy trzeba było aż 200 takich galerii, które zużytkowały na rzecz swoją wszystką wodę zawartą w żyłach podziemnych okolicy. Okolice, które trudnią się uprawą ryżu, przedstawiają jedną zwartą sieć olbrzymią irygacji, która w kanały swoje zbiera wodę na wyniosłościach. Kanały te zraszają pola pod ryż położone na różnych poziomach i stoki górskie tworzą szereg tarasów wznoszących się jeden nad drugim. I nie dość było przeprowadzić irygację, trzeba było jeszcze udoskonalić sposoby rozdziału wody. „Trzeba było wykształcić w sobie w ciągu tysiącleci umiejętność doprowadzania wody, tam gdzie jej potrzebowano, a dokonywać tego w sposób prosty, wygodny a tani. Żadne obrachunki matematyczne nie mogą iść w porównanie z niemyślącym się poczuciem tubylca (w Turkistanie), który bez przyrządów niwelacyjnych i geodezyjnych umie nakazać wodzie płynąć tam, dokąd my jej nie zmusimy. Dokładne prawa wyznaczają każdemu kiszlakowi i każdemu rolnikowi, kiedy i jak długo może użytkować z wód przypadającego nań

kanalu. Mieszkańcy z takim szacunkiem spoglądają na te prawa, iż nie ma mowy o jakimkolwiek samowolnym naruszeniu przez sąsiadów tych zwyczajów, dotyczących podziału wody. Długie wieki opracowały drobiazgowo a dokładnie te zasady" (E. Markow). Na straży całości kanałów i należytego ich funkcjonowania stoi organizacja wszystkich rolników, a władza państwowa, aczkolwiek nieprzyzwyczajona do jakiegokolwiek kontroli nad sobą i pełna samowoli, ugina się przed sprawą irygacji i dokłada wszelkich starań, ażeby ludności nie przeszkadzać w jej samorzutnym współdziałaniu. A na najwyższych swoich szczeblach, jak np. gdy chodzi o terasy nad rzeką Hoang-ho w Chinach, irygacje są płodem pracy zbiorowej, łożonej przez liczniejsze pokolenia, niż przy budowie piramid. Poczęły się w okresie bardzo wczesnym barbarzyństwa, a wiążą się z inną właściwością pierwotnego rolnictwa, mianowicie sadowieniem się uprawy na stokach gór lub pagórków, a to dla tej prostej przyczyny, że woda znajdowała tam naturalne spadki i nie zabagniała pól, jak w nizinach. Chodziło zaś nietylko o zapobieganie zbytnej wilgotności gruntu, ale także o miarkowanie ilości wody niezbędnej. Powierzchnie stoków przekształcano w rząd idących coraz niżej tarasów, przyczem urządzenie tych tarasów niekiedy wymagało dużej pracy — nagromadzenia na krawędzi ich zwalów głazów, a nawet noszenia ziemi z nizin, ażeby utworzyć pole. Tego rodzaju górskie irygacje odnajdujemy już w Peruwii, w Afryce wokoło pasma górskiego w okolicy Wielkich Jezior, na wyspach Malajskich, w różnych punktach Polinezji. I znowu nie możemy wdawać się w opis tych urządzeń — co najwyżej dla uprzytomnienia poziomu kultury rolnej tej formacji pozwolimy sobie przytoczyć opis dotyczący barbarzyńców wyspy Lombok: „Po raz pierwszy — pisze wybitny przyrodnik A. Wallace — otrzymałem przybliżone pojęcie o jednym z najbardziej zdumiewających sposobów uprawy w świecie, przewyższającym pono każdy szmat ziemi tej samej wielkości w najbardziej cywilizowanych krajach Europy pod względem ilości pracy w glebę włożonej. Jechałem w najwyższym zdumieniu przez ów ogród osobliwy, zaledwie mogąc uprzytomnić sobie, że na tej odległej i tak mało znanej wyspie setki mil kwadratowych sfałdowanej nieprawidłowo powierzchni idą tak umiejętnie tara-

sami i są tak dobrze zniwelowane i tak porządnie sztucznymi kanałami, iż każdy kawałek daje się dowolnie unawodniać i osuszać. Odpowiednio do tego, czy spadzistość łąk jest ostrzejsza lub łagodniejsza, taras zawiera kilka akrów, to znowu parę jardów kwadratowych. Znajdowały się one w różnych stadiach uprawy: niektóre ugorowały, inne były zorane, inne jeszcze pokrywał ryż w różnym okresie wzrostu. Tu ciągnęły się uroczne zagony tytoniu, tam słodkich kartofli; yam, boby i kukurydza urozmaicały obraz. Niekiedy rowy były suche, gdzieindziej małe strumyki przecinały naszą drogę i biegły na pola, na których imano się siejby lub sadzenia flanców. Krańędzie, ograniczające każdy taras, wznosiły się prawidłowo, liniami poziomymi, jedne ponad drugimi, to otaczały pagórek spadzisty, nadając mu wygląd warowni, to szły dokoła głębokiego parowu, tworząc jakby siedzenia olbrzymiego amfiteatru. Każdą rzeczkę i rzeczulkę wyprowadzono z właściwego łożyska: zamiast płynąć wzdłuż najniższych miejsc, występowały wzdłuż naszej drogi niekiedy na wyniesieniu, które, otoczone starymi drzewami i omszałymi kamieniami wywierało wrażenie kanału przez przyrodę stworzonego".

Tak wygląda rolnictwo kopieniackie u barbarzyńców znajdujących się na wyższym poziomie kultury.

Ten ustrój stosunków gospodarczych związanych z kopienictwem i irygacjami, całkowicie ułokował się poza obrębem naszej cywilizacji, która często nieświadoma jego wyników traktuje go dość lekceważąco. A przecież zasługuje on na rozleglejsze uwzględnienie wobec roli dziejowej jaką odegrał. Był bodaj szkieletem, dokoła którego tworzyły się pierwsze państwowości na globie, a więc cywilizacje nadrzeczne Nilu, Tygrysu i Eufratu, Indusu, rzek turkiestańskich i chińskich. Dokonał prac olbrzymich, które mogą iść w zawody z największymi dziełami naszej epoki, takimi kanałami jak Sueski i Panamski. Ale irygacje Indii nie przemówiły do Anglików, tak samo jak nie przemówiły do zaborców pochodzenia turańskiego irygacje, życiem zapładniające dzisiejsze pustkowia nad Eufratem: pozwolili im podupadać, a gdy podupadły, zrozumieli swój błąd. W obrębie tego ustroju powstały uprawy rolne, gdzie pola właściwie przemieniono w ogrody pod względem

uprawy i gdzie osiągnano plony, które przewyższają wydajność naszych pól.

4. Ustroje gospodarstwa domowo-rodzinnego w wcześniejszym kopieniactwie. Zabieглиśmy nieco zanadto naprzód. Zawracamy do kopieniactwa pierwotnego, wcześniejszego. Kopieniactwo w okresach początkowych idzie w parze z osobliwym układem stosunków rodzinnych, który wyrósł na podłożu podziału pracy właściwego okresowi pierwotnemu. Mężczyzna wtedy polował, trudnił się rzemiosłem wojackim i — próżnował. Kobieta krzątała się około dzieci i gospodarstwa domowego i właśnie w związku z tym gospodarstwem była podówczas wielką wynalazczynią. Wynalazła koszykarstwo, a ta umiejętność doprowadziła ją do garncarstwa z jednej strony, tkactwa z drugiej. Na niej spoczywało budowanie szałasów, ona to zbieraniem jagód, nasion i kłaczy urozmaicała spożycie domowe i w końcu jęła się uprawy ziemi. Dopiero później, gdy wzrosło napięcie tej uprawy, gdy trzeba było karczować zarośla, mężczyzna zaczyna z nią współdziałać, wreszcie obejmuje najważniejsze czynności z chwilą, gdy do uprawy gruntów będzie zastosowana siła juczna zwierząt. Ale uczyni to dlatego, ażeby ręka kobieca dotknięciem swoim nie plugawiła bydła. W ogóle trzyma się z dala od „robót babskich“. Zdarza się, iż gdy dzięki różnym okolicznościom zabraknie kobiet, które zakrzętnęłyby się około żniw i zmęły ziarno, mężczyznom będzie dolegał głód, lecz żaden z nich nie zajmie się tymi czynnościami (D. Livingstone). W kopieniactwie i w ogóle na niższych szczeblach kultury w następstwie tego podziału pracy każda płeć rozporządza wytworami swojej pracy jako swoją prawną własnością. Prawo zwyczajowe staroniemieckie odróżniało puściznę męską, *Heergeräte* od babizny — *Gewand* — w tym wypadku nie sprzeniewierzało się wzorom społeczności wcześniejszej. W różnych punktach globu, a więc w Afryce, u Indian, na Nowej Gwinei kobieta jest panią i właścicielką domu. „Tipi (namiot) należy do Dakotki: wyprawia ona skóry, z których namiot jest zrobiony, rozkłada go i składa, dźwiga go często na karku swoim podczas wędrówek, namiot więc należy do niej“ (St. Riggs). „Kobiety (u Indian z pueblów) zajmują się gospodarstwem domowym i dozorem, do nich należy własność

domu, mąż nie sprzeda ani jednej rzeczy bez przyzwolenia, w Europie rzeklibyśmy: bez asystencji żony, ale i wtedy ta chowa pieniądze; często umawiałem się o kupno czegoś z mężem, ale na moje utrapienie nadchodziła żona i odmawiała swojego zatwierdzenia" (J. G. Bourke). Kobiety wtedy trzymały się często odgałęzieniami rodowymi. U Huronów np. przebywały w długim budynku, w którym niekiedy mieściło się do dwudziestu stadeł małżeńskich, rdzeń domostwa tworzyły siostry rodzone i cioteczne, niekiedy któryś z synów wprowadzał do domu macierzystego swoją żonę. „Cokolwiek któryś z członków przyniósł był z wyprawy myśliwskiej lub rybołówczej, cokolwiek otrzymano z pól, wszystko to oddawano do zasobu wspólnego. W obrębie domostwa wszyscy żyli ze wspólnego spichlerza. Każdy dom mieścił w sobie wiele ognisk, zwykle jedno na cztery apartamenty: znajdowały się one pośrodku korytarza. Takie gospodarstwo domowe było pod zarządem matrony, ciężar wszystkich spraw gospodarczych spoczywał na niej. Kiedy przyrządzono na tych ogniskach jedyny posiłek dzienny, wołano ją, gdyż na niej ciążył obowiązek rozdzielania strawy z kotła pomiędzy rodziny w miarę potrzeb każdej. To co pozostawało, brała pod swoją pieczę inna kobieta, póki matrona nie zażądała od niej tego zapasu" (Morgan). Ale podając ten obrazek zwyczajów irokezkich, dalecy jesteśmy od poglądu, iż wszędzie u kopieniaków okresu wczesnego istnieją stereotypowo powtarzające się te same wzory. Przeciwnie, różnorodność jest wielka. Między innymi, zdaje się, iż kobiety żyją w odrębnych chatach, które są ich własnością osobistą lub własnością danego rodu. Już malcy opuszczają chatę matczyną i wraz z ojcami przebywają w domu męskim. Mężczyźni spożywają tu swoje posiłki, załatwiają wszystkie sprawy plemienne. Nawet mężczyzna żonaty nie opuszcza domu męskiego, jedynie dostarcza żonie ryb, rąbie drwa, karczkuje zarośla, spełnia parę innych cięższych robót, lecz z nią nie mieszka — spotyka się z nią jedynie wśród plantacji, gdzie małżonkowie niekiedy posiadają szałas. Dopiero na starość przenosi się na stałe do żony (J. Kubary). Wśród barbarzyńców kopieniackich często można spotkać duże domy, przy czym gospodarstwo domowe poszczególnych rodzin może być silnie zindywidualizowane. Na wielkich wyspach malaj-



skich zdarzają się domostwa ciągnące się na przestrzeni 700 i więcej stóp, a nawet ćwierć mili angielskiej, a liczące 800—1000 głów ludności. Indianie z pueblów budowali kilkupiętrowe domy, piętra szły schodami. Były domy liczące po 650 izb i 4.000 mieszkańców. Jeden z historyków rozwoju gospodarczego pyta się, z kogo składa się gromada mieszkańców takiego domu. Niestety, o tej stronie wielkich domów, jak i o ustroju ich gospodarczym niewiele wiemy. Niekiedy każda rodzina w takim domu, a nawet każdy człowiek, zaczawszy od wyrostków, mają swoje działki w polu, a plony chowają do swojej izdebki, przy czym zwyczaje nie pozwalają sąsiadom wchodzić do niej. W pueblach, o których mówiliśmy, mężczyzn dostarczał głązów i kłoców na pułapy, na drabiny i oddrzwia, kobiety wyrabiały cegły i lepiły mur i dlatego uchodziły za właścicielki izby i spichlerzy, w których gromadzono plony z pól. Stadło małżeńskie zajmowało odrębną izdebkę, miało własne ognisko i sprzęty gospodarcze, w tej liczbie żarna, co świadczy, że każde prowadziło odrębne gospodarstwo. Połowanie i połów ryb odbywały się zbiorowo, upolowana zwierzyna szła do podziału pomiędzy gospodarstwami, lecz w ogóle w spożyciu odgrywała rolę nieznaczną. Istniały pola gminne, z których plony przechowywano w spichlerzu społecznym i dopiero, gdy je tam umieszczono, rodzina miała się sprzątaniam zbiorów na własnym polu, a gdy wyczerpała swoje zasoby, miała prawo zwrócić się do kacyka z prośbą o wydanie jej wsparcia z zasobów gminnych. Ziemia była własnością ogółu, ktoś zajmował działkę jakąś za zgodą dostojników osiedla, uprawiał ją, przekazywał dzieciom, lecz gdy użytkownik zaprzestał uprawy, ziemia wracała do ogółu. W ogóle od plemienia do plemienia stosunki w tych wielkich domach były niezmiernie urozmaicone. Spośród obfitej liczby odmiennych wzorów, wybraliśmy tylko parę. Podkreślamy tę okoliczność — podciąganie tej różnorodności pod jeden jakiś schemat byłoby niewątpliwie fałszowaniem rzeczywistości.

Rodzina macierzysta właściwa niższemu ustrojowi kopienackim znika na wyższych szczeblach, ustępując miejsca prawu ojcowskiemu. Niekiedy, jak u Malajów, istnieją tuż obok siebie rodziny obu typów. Nie będziemy tutaj rozważali, pod wpływem jakich czynników dokonała się ta zmiana, tym bardziej

(jeśli mamy być szczerzy), że pozostajemy w niewiedomości zarówno co do mechanizmu zmiany, jak i czynników, które ją wywołały.

5. Pasterstwo. Ustrój rodziny. Wzrost różnic majątkowych (feodalizm oparty na rozdawnictwie bydła). Pasterstwo początkami swymi tkwi w kopieniactwie. Kopieniak oswoił zwierzęta, (przynajmniej bydło rogate i trzodę chlewną; oswojenie konia i renifera bodaj odbyło się w nieco odmiennych warunkach). Oswojenie było dziełem mężczyzny: oswojone zwierzęta wraz z przychówkiem były więc jego własnością. A kiedy ten majątek zwierzęcy dostarczać zaczyna utrzymaniu rodziny, mężczyzna będzie jej głową: kupuje żonę, a właściwie żony, jest panem w domu i zazwyczaj trzyma kobiety z dala od zbliżenia się do zagród, gdzie przebywają zwierzęta, i sam je doi.

Zbyteczne nadmienić, iż pasterstwo nie wszędzie ma to samo oblicze. Na stepie np. kirgiskim konie są rdzeniem mienia rodzinnego, owce zajmują drugie miejsce. Tabuny koni wiosną same ruszają z okolic podgórszych na północ, za nimi ciągnie gospodarz. Jesienią wraca do leży zimowych. Wędrowki odbywa na przestrzeni 700 wiorst w jednym i tyleż w drugim, powrotnym kierunku. Natomiast na stepie afrykańskim tryb życia jest względnie osiadły. Kraal (wioska), zbudowany w postaci koła, ma w wolnym przestworzu środkowym zagrodę dla bydła. Podczas dnia (i nawet dni całych) bydło pasie się na stepie, przyganiając na noc do zagród. Mleko jest jednym z zasadniczych pokarmów, spożywane zwykle w stanie półzsiadłym, obok niego proso afrykańskie, dorobek kobiecy do gospodarstwa domowego; mięso bydła zjawia się rzadko na stole. Wędrowki Kirgizów, uskuteczniane z roku na rok według tej samej kolejności z postojem na postój, niedbale dokonywany zasiew zbóż jako paszy dla bydła na postojach zimowych, obfitującym w gnoj, którego tam wszędzie jest pełno, a z drugiej strony względnie osiadły tryb życia Kafa oparty na bydle rogatym i uprawie systematycznej prosa afrykańskiego — już te okoliczności zewnętrzne świadczą, że pomiędzy jednym i drugim pasterzami istnieje i istnieć musi różnica pod wielu względami. Lecz na dwóch formacjach nie ogranicza się pasterstwo. Kirgiz i Tunguz, Samoied i przedstawiciel plemienia Czukczów,

obaj utrzymujący się z hodowli reniferów, koczujące pasterskie plemiona pustyni Arabii i północnej Afryki, Kafrzy itd., wszystko to są każdorazowo odmienne formacje, jedne mocno koczownicze, drugie więcej niż pół-osiadłe.

Jednak pomimo tych różnic wszystkim pasterzom są właściwe niektóre rysy.

Przede wszystkim u wszystkich podstawą dobrobytu jest majątek ruchomy, podzielony, szybko mnożący się, a więc stada i tabuny, w przeciwieństwie do rolnictwa barbarzyńskiego, gdzie jest nieruchomy i tkwi w posiadanej ziemi, i to w takiej ilości, ile wolny człowiek zdoła uprawić własnymi rękoma. Pojęcie majątku zlewa się u koczowników z nazwą bydła (tj. tego z czego człowiek czerpie środki istnienia, czym bytuje), które dostarcza terminów dla oznaczenia w ogóle bogactwa, pieniędzy itd. (gockie *skatts*, skarb, rosyjskie *skot* — bydło, pochodzą od wspólnego źródłosłowu, tak samo jak *da* w narzeczu Carnarwońskim oznacza bydło, w innych zaś okolicach Walii *dobra* w ogóle, majątek itd.). Wzrostowi tego majątku nie stoją na przeszkodzie ograniczenia spotykane w rolnictwie. Bardzo wczesnie wśród plemieńców pojawiają się duże różnice w zamożności. W wieku XVIII, kiedy koczownicy azjatyccy korzystali jeszcze z całej swobody ruchów, pospolity Kirgiz miał rzadko poniżej 30—40 koni i 15—20 wołów, a nadto około setki owiec, parę wielbłądów i 20—30 kóz, zamożni zaś posiadali po 10.000 koni, 3.000—4.000 sztuk bydła rogatego, 300 wielbłądów, 20.000 owiec i przeszło 1.000 kóz. Nie mnożymy innych przykładów. Chodzi nam bowiem jedynie o zaznaczenie rozległości wahań w zakresie zamożności. Różnic tych nie znosi, lecz jedynie łagodzi rozległe stosowana gościnność, lub inne szczątkowe objawy współnictwa: u Hotentotów np. każdy zabiera z dziennego udoju wioskowego, ile potrzebuje mleka i dopiero ostatek bywa dzielony pomiędzy rodziny odpowiednio do liczby krów posiadanych przez każdą; u Kafrów, gdy ktoś zabił wołu, przybywają zewsząd nieproszeni sąsiedzi i pozostają dopóki, póty wszystkiego nie spożyją — kto spożywa wołu samotnie, uchodzi za złodzieja. Źródła tej gościnności tkwią głębiej, w tradycjach dawnego współnictwa: gdy majątny Samojed odmówi biednemu potrzebnemu mu renifera, ten może uprowadzić z jego stada jedną lub parę sztuk,

a opinia publiczna toleruje taki postępek; na stepie azjatyckim ubogi zwraca się niekiedy do zamożniejszego rodaka nie z prośbą, tylko z żądaniem: oddaj mi trawę stada swojego, tj. domaga się wynagrodzenia za to, iż bydło zamożnego pasło się na stepie, który przecież jest własnością wspólną. Ale te pozostałości wspólnoty nie mogą podoleć skutkom wzrostu różnic majątkowych, ani tego, iż tutaj chodzi o mienie ruchome: bydło staje się miernikiem, w którym ocenia się wartość każdej usługi i każdej rzeczy, narzędziem wymiany (płacidłem), środkiem gromadzenia skarbów, tj. towarem powszechnie przyjmowanym i powszechnie pożądanym, w którym opłaca się grzywny, za który nabywa się żony i za którego sprawą pozyskuje się władzę. Już niezależnie od innych czynników posiadanie wielkiej ilości bydła skuteczniej zabezpiecza posiadacza od różnych przypadków, np. epidemii, niż właściciela niewielkiego stada. Zamożny plemieniec dzieli swój majątek na drobniejsze gromady — jedna od drugiej w odległości niekiedy paru dni drogi, rozmiary zaś najwłaściwsze dla takiej gromady wytknęło doświadczenie wieków. Gdy przyjdzie pomór, takie rozmieszczenie bydła pomiędzy liczne punkty, zabezpiecza, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre stada od skutków epidemii. Ubogi, mający jedynie tyle sztuk, ile potrzeba zaledwie na skromne utrzymanie rodziny, z konieczności nie może odwołać się do tego środka zabezpieczenia się przeciw pomorom. Przy każdym stadzie czuwają synowie właściciela, niekiedy któraś z żon, oraz czeladź, właściciel zaś ciągle podróżuje z postojem do postojem. W osobach czeladzi tworzy się warstwa plemieńców niższej kondycji, która występuje się w nadziei, iż kiedyś dostanie parę sztuk bydła. Ale tam, gdzie ubóstwu przeciwstawia się wielka zamożność, prędzej czy później ukażą się jeszcze inne stosunki — właściwe ustrojowi feudalnemu, lecz oparte na rozposażeniu bydła. W najprostszej swojej postaci ustrój ten, znany pod nazwą *s i s a*, ukazuje się u Kafrów: zamożny użycza sztuk bydła ubogiemu plemieńcowi, który z niego ciągnie wszelkiego rodzaju pożytek, lecz oddaje przychówek prawowitemu właścicielowi, który od czasu do czasu pozostawia jakąś sztukę na własność użytkownika. Z takich początków w Irlandii rozwinęła się wykończona więź feudalna, przedmiotem lenna była nie ziemia, jeno bydło. Istniała wśród

ludności wolnej cała gradacja od pospolitego plemienia aż do głowy plemienia, a każde ogniwo było obowiązane do pobierania od swego zwierzchnika rodowego czy plemiennego określonej liczby bydła, tym większej, im stanowisko pobierającego było wyższe. „Niżsi wodzowie brali bydło od wyższych i płacili im daninę, a szczeble dostojenstwa plemiennego były nawzajem spojone w ustopniowaniu swoim przez wyznaczone z góry przyjmowanie bydła od stopnia bezpośrednio wyższego i uiszczanie mu daniny w naturze (Maine, Seeböhm).

6. Początki rolnictwa zbożowego. Leże zimowe i sposoby użytkowania podówcza z paśników. Korzystając ze wzorów właściwych stepowi azjatyckiemu warto nieco pomówić o początkach gospodarstwa zbożowego.

Do uprawy na stepie nadają się jedynie rośliny kserofiliczne, tj. takie, które wymagają obfitszej wilgoci jedynie w okresie kiełkowania, później zaś nawet dłuższe posuchy im nie szkodzą, zwłaszcza gdy rośliny się wykłosa. Takimi roślinami są zboża. Rolnictwo zbożowe, ażeby zdołało wyżywić człowieka, wymaga o wiele większej przestrzeni niż kopienictwo, lecz nie tak skrupulatnej pracy i takiej drobiazgowej i ciągłej zapobiegliwości. Pasterz może podołać wymaganiom takiej uprawy rozleglejszej pod względem przestrzeni, posługując się bydłem jako siłą pociągową i sprzężają. Ale rolnictwo, prowadzone jest zazwyczaj w sposób niechlujny: Kirgiz odwróciwszy narzędziem bardzo promitywnym ziemię gdzieś na postoju zimowym i dokonawszy siejby, na rok następny poprzestaje jedynie na zabronowaniu ziarna i to powtarza dopóty, póki chwasty nie zagłuszą pola. I to postępowanie jest już wyrazem wielkiego postępu. W wieku XVIII, siano tam tatarkę, młócono sprzęt na polu, a ziarna, które pozostały na ziemi niezebrane, służyły zamiast posiewu na rok przyszły — poprzestawano jedynie na zabronowaniu takiego pola. Raz dokonana siejba starczyła na lat 5—8. Przy tym rzecz znamienita; Kirgiz ustalił swoje postoje zimowe bynajmniej nie z zamiarem uprawy zbóż, lecz w celu zapewnienia sobie dobrych paśników i sprzętu z nich siana na zimę. Zdarza się, że sieje zboże nie po to, ażeby je sprzątnąć, lecz dla ochrony kawałka stepu, z którego pragnąłby kosić siano. Zboże zasiane broni dostępu innym do kawałka

stepu, który chciał on wygrodzić z roszczeń pospólnych na swój użytek indywidualny. Przy czym pole porzucone porasta różnymi trawami i po latach paru jednym z gatunków, który daje przewyborne siano. I właśnie od postojów zimowych pochodzi się u Kirgizów własność bardziej ograniczona. Wprawdzie już na stepie istnieją ograniczenia w użytkowaniu: w ciągu wieków plemiona, w plemienu rody, a w rodach auły ciągnęły wciąż tymi samymi szlakami. Stosunki te były w stanie płynnym, chodziło tam jedynie o zawarowanie sobie miejsca porośniętego lepszą trawą, i źródeł wody. Postoje nad rzekami i jeziorami, a zwłaszcza nad zbiornikami wody będącymi dziełem ręki ludzkiej, pierwsze stały się w ten sposób przynależnością poszczególnych działów szczepu kirgiskiego. Jednak rzadko zdarzały się tam powody do zatargów. Inaczej było na leżach zimowych: przestrzeń tam była mocno ograniczona w swojej rozległości — od obfitości dostarczanego siana zależała gęstość zaludnienia okolicy, i wszystkie rozprawy orężne pomiędzy Kirgizami toczyły się o te paśniki. Kiedyś w przeszłości decydowało *jus primi occupantis*, a więc pozostawanie na paśniku pomiotu bydła — czyje było bydło, ten siedział i nadal na tym kawałku. „Nie pilnują tak troskliwie mięsa w sochumie, jak tych paśników”. Lecz *jus primi occupantis* stworzyło z biegiem czasu całą moc rozdźwięków: jedne rodziny rozmnażały się szybciej, inne powoli. Dla zażegnania sporów z biegiem czasu zaczęto dokonywać częściowego wyrównywania paśników pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami, aż w dalszym ciągu, kiedy ludność wzrosła jeszcze bardziej, wszystkie paśniki i sianokosy zaczęto zlewać w jedną całość i rok rocznie dzielić je pomiędzy członków aułu, lub gromada pospołu kosiła trawę i dzieliła siano, czy to pomiędzy gospodarzy, czy pomiędzy bydło. Zdarza się, że w obrębie tego samego aułu zasady korzystania z paśników i sianokosów są różne, zależnie od odległości użytku, a tym bardziej pomiędzy aułami sąsiednimi, a zwłaszcza dalszymi. Natomiast prawo orki w obrębie stepu jest nieograniczone: każdy może zajmować miejsce, gdzie mu się podoba. W ogóle stosunki użytkowania z gruntów wśród koczowników zgoła nie przedstawiają czegoś statecznego i zakrzepłego. Przeciwnie, są w stanie przekształcania się ciągle: w jednych okolicach

zaledwie ukazały się zaczątki prawa pierwszej okupacji do sianożęcia, gdzieindziej władanie jest osobiste, tj. koczownik trzyma się tego ich podziału, jaki powstał pod działaniem zasady pierwszej okupacji; jeszcze gdzieindziej mają się wyrównywania, tj. ukazuje się pierwszy przebłysk twórczej a świadomej działalności zbiorowej, zwiastującej powstanie wspólnoty wioskowej. „Wszystkie te urządzenia są chwiejne, niestateczne i grzeszą prostactwem. Kirgizi trzymają się tych lub innych urządzeń nie za sprawą założeń wyraźnych i dokładnie uświadomionych, jeno w następstwie stosunków, które wytworzyły się często w sposób samorzutny, żywiołowy. Zbiorowym sprzętem siana nie kierują zwyczajnie zrzeszania prawidłowego, strona prawna stosowanych zwyczajów nie nosi na sobie piętna ustroju wypracowanego, brak tu jednolitości zasad kierowniczych. W wspólnocie kirgiskiej (i zabajkalskiej) istnieje mnóstwo pierwiastków przypadkowych, nie wykończonych lub jeszcze niezupełnie zdecydowanych”.

Jeszcze raz wracamy do leży zimowych kirgiskich. Cały tryb życia codziennego wdraża pasterzy do przyszłego mierzwienia pól. U niektórych koczowników azjatyckich cuchnące trzęsawiska otaczają zewsząd chaty i szałas pod czas deszczów. Całe to otoczenie sprawia, iż mierzwienie pól poczyna się u rolników pochodzenia pasterskiego bardzo wczesnie, wprowadzie ni w postaci wywożenia gnoju na pola, jeno wypędzania bydła na ścierniska celem użyznienia gruntu. Poczyna się od mierzwienia łąk. Koczownik Buriat w tym celu z roku na rok przenosi chaty swoje na inne miejsce, dawne zaś postoje porastają bujną trawą. A kiedy ludność wzrosła i uniemożliwiła takie postępowanie, proszkuje suchy nawóz i nim posypuje łąki. Od tych praktyk do mierzwienia pól pod zasiew zboża droga jest niedaleka. Kiedy latem wyrusza plemię na wędrowkę, na leżach zimowych pozostają ci, którzy utracili swoje bydło. Bodaj z nich będzie się tworzył pierwszy zastęp osiadłych rolników. Przypomina to teorię Peiskera o pochodzeniu żupanów i smerdów: zamożniejsi trzymali się pasterstwa, ubożsi z konieczności imali się rolnictwa wśród takich samych trzęsawisk, które otaczają dzisiaj np. wioski pasterzy altajskich. (Przytaczając nazwisko tego badacza, bynajmniej nie podpisujemy się całkowicie pod jego wywodami. Znane nam wzory

koczownicze azjatyckie nie popierają jego wywodów w całej rozciągłości, ale też i nie podważają ich w sposób stanowczy).

7. Pospólności plemiennie najeźdźników-pasterzy w porównaniu z innymi pokrewnymi ustrojami. W związku ze zwyczajami ludów pasterskich warto zatrzymać się nieco nad ustrojami, które powstają, gdy lud wychodzący z takiej formacji, najeżdża cudze terytorium i dzieli je między swoich członków, przechodząc do osiadłego trybu życia, jak to było po podboju Chanaanu przez Izraelitów lub, w czasach nie tak dalekich, po usadowieniu się plemion pochodzenia afgańskiego i beludżyskiego w porzeczcu Indusu. Wśród tych najeźdźców co pewien czas zgarnia się wszystkie grunta do jednej masy plemiennnej i dzieli je pomiędzy podplemiona, rody, familie, domy aż do oddzielnych osób — zresztą ostateczna jednostka podziału bywa różna: „usta“, a właściwie „żołądki“ (a więc zarówno mężczyzna jak kobieta), „plugi“, „jeźdźcy“ itd. Takie podziały periodyczne w plemieniu Gundapurów ogarniały 462 mile kw. ang. i dziesiątki tysięcy ludności. W tych podziałach zawsze występuje plemię ze swoimi „rodzajami“, „familiami“, „domami“, jeno nie wioska. Wioska ukazuje się dopiero w wyniku ostatecznym rozprzężenia się wzorów starodawnych. Rozprzężenie to rozpoczyna się od zaprzestania podziału gruntów pomiędzy wyższymi ogniwami więzi plemiennnej, stamtąd zstępuje coraz niżej, aż w końcu wyłania się wioska wciąż hołdująca systematycznym podziałom „braterskim“, tj. należąca do typu noszącego w Indiach nazwę *b h a i a c h a r a*: każdy otrzymuje część jednaką w tych periodycznych podziałach. Gromada wioskowa wyróżnia się dużym poczuciem społecznym i wobec władzy państwowej ponosi zbiorową odpowiedzialność za uiszczenie podatków.

Tylko co odtworzone stosunki w obrębie Indii Przedgangesowych swoimi ustrojami plemiennymi odpowiadają poniekąd marce niemieckiej, braterstwa zaś wioskowe — obszczywie rosyjskiej. Stawiając obok siebie te różne pospólności, wielkie i drobne, bynajmniej nie chcemy uważać ich za ustroje tego samego kalibru. Marka, bądź co bądź nie pokrywa się (a przynajmniej nie mamy na to dowodów) z pospólnością plemienną najeźdźców afgańskich i również pomiędzy ustrojami brater-



skimi Indii a pospólnością wioskową rosyjską istnieją różnice. A zwłaszcza jest postępowaniem bardzo zdradliwym wszelkie wiązanie rodowodowe wymienionych ustrojów gospodarczych. Jeżeli kładziemy je obok siebie, to dlatego, że bądź co bądź istnieje pomiędzy nimi niejakie podobieństwo, acz w istocie rzeczy mogły być powstać na podłożu zupełnie odmiennych stosunków.

Zatrzymamy się nieco nad tą sprawą odmiennego rodowodu ustrojów, które na pierwszy rzut oka wyglądają na ogniwa tej samej formacji.

Oto istnieją w obrębie Rosji północnej, a także na Syberii olbrzymie „obszczyzny-wołości”, które przedstawiają niejaką równoległość do marki niemieckiej lub pospólności najeźdźców afgańskich, ale powstały, przynajmniej na Syberii, pod wpływem zgoła odmiennych czynników. Taką „włość” Horodyszczenskaja (w gub. Wołogodzkiej, około 2.000 dusz) ma w średnicy 30 wiorst, „Waginskaja dacza” składa się ze stu przeszło zaścianków i zawiera 200.000 dziesięcin ziemi, ciągnących się na przestrzeni przeszło 60 wiorst wzdłuż rz. Swiry; „włość” Pełymskaja w gub. Tobolskiej idzie wąskim szmatem wzdłuż rz. Tawdy na przestrzeni przeszło 150 wiorst. Naturalnie są to „włości” wyjątkowo wielkie, inne są mniejszych i niekiedy bardzo małych rozmiarów. P. A. Sokołowski, sumienny historyk stosunków gospodarczych na północy Rosji, uważa, że te pospólności powstały w najwcześniejszej epoce dziejowej narodu rosyjskiego i wyszły z ustroju rodowego. Podajemy tę uwagę, nie przykładając do niej większego znaczenia, natomiast co do Syberii, powstawanie tych pospólności pozostawiło po sobie wyraźne świadectwa swego pochodzenia. Tutaj w Syberii, osiadły nie rody, lecz pojedyncze a obce sobie całkowicie rodziny. Dokoła pierwotnego zaścianka mnożyły się wysiołki, urastały do rozmiarów nowych wiosek, a chociaż znajdowały się niekiedy w znacznej od siebie odległości, nosiły tę samą nazwę. Albowiem w puszczy syberyjskiej tylko tu i owdzie znajdują się niewielkie szmaty dobrej ziemi. To zmuszało wysielczan do osiadania w znacznej odległości od wioski rodzinnej. Najczęściej osiadali obok siebie ludzie zupełnie sobie obcy w okolicy niemal bezludnej. Każdy orał, gdzie chciał, wrąbował się dowolnie do lasu i zagarniał

wszystko, dokąd dotarła jego siekiera, socha i kosa. Gospodarstwo żarowe idące w parze z ciągłymi karczunkami i zapuszczaniem pól pod długie ugory sprzyjało tej wolnicy, jak brzmi wyrażenie miejscowe. Gdziekolwiek istniał przestwór leśny, kto tylko chciał z wiosek sąsiednich, wrąbywał się i odwoływał się do ognia. Las uchodził za wspólną, bożą skarbnicę. Skoro odkryto gdzieś nad rzeką równą łąkę, gdzie trawy było w bród, a tymczasem w okolicy nie było innych sianozęci dogodniejszych, szli z kosą gospodarze z różnych wiosek. Sianozęć „zboża” była do użytku wszystkich. Tak działo się i w stosunku do innych użytków. Wioski znajdujące się w odległości kilkunastu i kilkudziesięciu wiorst wchodziły pomiędzy sobą w skojarzenia najrozmaitsze, np. w jednej okolicy terytorium jakuckiego, 25 wiosek w rejestrze rządowym figurują każda jako wspólnoty prawne, ale te same wioski w zakresie pól ornych tworzą 6 pospólności, względem sianozęcia — 17, paśników — 8. W tym okresie płatanina granic i szachownica użytków bywa zasadą, a włościanie uważają siebie za sąsiadów, mających każdy z osobna jednakową wolnicę w stosunku wzajemnym do gruntów i sianozęci. Nie poczucie wspólnego pochodzenia, jeno powierzchnia okolicy była pierwszą pobudką do wyodrębnienia się jakiejś jedni spośród tego zamętu. Całokształt stosunków sprzyjał powstaniu poglądu, że gdy „ludziska żyją w jednej kniei, nad jedną rzeką lub nad tym samym jeziorem, winni tworzyć niejako jednię, współdziałać jako całość wspólna”. W miarę wzrostu ludności i zahaczenia o siebie sprzecznych interesów, wśród wybuchów namiętności i bójek, powstawały próby wyrównania praw uczestników do każdego z użytków, więc wyrównywania ilości ziemi ornej tak, żeby w każdej wiosce przypadła na głowę ta sama liczba dziesięcin; podobnego podziału łąk pomiędzy uczestników na okres jednego zbioru siana lub gromadnego koszenia łąki i podziału samego siana. Dla dokonywania tych wyrównań, tego zlewania użytków indywidualnych w jedną masę wspólną i nowego jej podziału pomiędzy użytkowników itd., wybierani byli z wiosek przedstawiciele, którzy badali rzecz na miejscu i zdawali sprawę ze swoich wniosków przed walnym zgromadzeniem wszystkich gospodarzy pospólności. Niekiedy celem wyrównania tworzone nowe wioski, do których emigrowała

ze swoim dobytkiem ludność wsi przeludnionych i znowu w każdej takiej zbiorowej społeczności stosunki układały się w sposób odmienny, a mocno różnorodny, ale w gruncie podobny do zasad, jakimi rządzą się społeczności najezdnicze w dorzeczu Indusu. I dodajmy, naturalnie, o ile wolno wyciągać jakiegokolwiek wnioski z mocno niepełnych naszych wiadomości o Chinach przed trzema- czterema tysiącami lat, istniały tam także periodyczne wyrównywania pomiędzy dzielnicami lub podziałami użytków, takie same przenoszenie ludności okolic zaludnionych do mniej zaludnionych.

Nie wdajemy się w szczegóły. Podkreślamy rzecz najważniejszą: oto najezdnicze plemiona pochodzenia afgańskiego lub beludżyskiego wprowadziły na obszarach zdobytych społeczność plemienną w zakresie użytków rolnych itd. z systematycznie powtarzającymi się podziałami i wyrównywaniem i prawdopodobnie z celowo przedsięwziętymi rozmieszczeniami ludności. I taki sam ustrój powstawał gdzieś w Syberii bez jakiegokolwiek oparcia o więź rodową, jedynie na podłożu sadowienia się w pobliżu siebie w kniei osób całkowicie sobie obcych, użytkujących z pól, łąk, lasów itd. według zasad wolnej okupacji bez żadnych ograniczeń, a gdy wolna okupacja stworzyła płataninę granic i rodzić zaczęła kłótnie, ukazał się wyraz woli zbiorowej organizujący się z wolna, wreszcie ostatecznie zorganizowanej, która w imieniu ogółu i za jego zgodą dokonywała wyrównań, podziałów i przeniesień ludności. A więc ukazują się ustroje właściwie jednakowe, jednak wychodzące ze zgoła odmiennych formacji — z jednej strony solidarności rodowej, z drugiej — zbieraniny przypadkowej osób dowolnie i w dowolnym miejscu posługujących się swoją siekierą, pługiem i kosą. Kładziemy duży nacisk na tę okoliczność, która także tłumaczy naszą ostrożność w przypisywaniu jednakowych rodowodów urządzeniom posiadającym jednaki ustrój.

8. Pospólności wioskowe, ich rodowody i czynniki rozprzęgania się. Jużśmy wspominali o społeczności wioskowej — o „braterstwie” wioskowym w Indiach, o obszczywie w Rosji. Ustrój ten istnieje wśród rolników pod różnymi szerokościami i długościami geograficznymi — od wyspiarzy fidzyjskich aż do włościan Wielkiej Rosji

i w Syberii w. XIX. W swojej wykończonej formie był podstawą stateczności społeczeństw Wschodu. „Spólnoty wioskowe (hinduskie) są małymi rzeczpospolitemi, które w swoim obrębie znajdują niemal każdą rzecz, jakiej potrzebują, i które są zgoła niezależne od jakichkolwiek okoliczności zewnętrznych. Trwają bez zmiany tam, gdzie nie ma ani jednej rzeczy trwałej. Dynastie następowały po dynastiach, rewolucje po rewolucjach: Hindusi, Patanowie, Mongołowie, Machraci, Sikhowie, Anglicy byli kolejno panami kraju, ale spólnota wioskowa pozostawała niezmienna. Podczas niepokojów zbroją się one i wznoszą warownie, a kiedy armia nieprzyjacielska ciągnie przez dzielnicę, wioska spędza bydło swoje do warowni i nie zaczepia wroga. Kiedy łupież i spustoszenia zwracają się przeciw niej, niepodobna zaś myśleć o oporze, szuka schronienia w wioskach odległych, z którymi pozostaje w stosunku przyjacielskim, ale po przejściu zawieruchy wraca na dawne sadyby i ima się swoich zajęć. Nawet kiedy w ciągu wielu lat dzielnica jest widownią nieustającej grabieży i rzezi, tak iż niepodobna przebywać w wiosce, nawet wtedy rozproszeni wieśniacy wracają, jak tyllko nastanie możliwość spokojnego posiadania. Jedno pokolenie może opuścić sadyby swoje, ale następne powróci do nich. Synowie siądą na sadybie ojców, odbudują wioskę na tym samym miejscu, te same grunta dostaną się potomkom tych, którzy musieli je opuścić, kiedy mieszkańcy wynosili się z wioski. Zresztą jedynie poważna sytuacja zmusza ich do opuszczania sadyb, gdyż nawet podczas niepokoju i przewrotów siedzą często na swoim miejscu i stawiają zwycięsko czoło rabunkowi i uciskowi” (C. Metcalf).

Warto bliżej rozejrzeć się w tej starodawnej więzi gospodarczej i jej rodowodach. Jako punkt wyjścia posłużą wzory drobiazgowo zbadane, a ostatecznie usunięte dopiero przez rewolucję bolszewicką w Rosji, zresztą w chwili usunięcia były już mocno nadszarpnięte przez sprzeczne z założeniami wspólności stosunki otaczającego je życia gospodarczego.

Obszczyna w Rosji nie była jakimś ustrojem jednolicie się przedstawiającym, lecz mieściła w sobie całą moc odmian i odchyień. Schemat poniżej podany powstał dopiero pod naszym piórem — jedyne wyjście wobec wielkiej różnorodności stosunków.

Rosyjska obszczyna władała według zasad pospólnych wszystkimi pożytkami znajdującymi się w obrębie jej granic, a więc gruntami rolnymi i łąkami, pastwiskami, lasami, wodami. Gdy chodzi o grunta rolne, co lat kilka, niekiedy co kilkanaście, zlewano wszystkie takie grunta w jedną masę i dzielono je odpowiednio do liczby „dusz”. Podziału dokonywał mir, tj. ogół gospodarzy, często w asystencji żon, które zwłaszcza czynnie występowały przy sprawdzaniu sprawiedliwości nadsziałów. Zaczynano od wyodrębnienia w obszarze rolnym „pól” — jakość gleby, wilgoć i w ogóle wszystkie warunki były w obrębie każdego pola jednakowe (pola właściwie pozostawały bez zmiany w ciągu długich okresów czasu). Następnie każde pole dzielono na działki w takiej liczbie ile było uprawnionych „dusz” w obszczynie („duszą”, „żołądkiem” itd. była dorosła osoba, parę małoletnich dzieci liczono za jedną duszę). Każdej duszy przysądzano jeden dział w każdym polu. Rodzina otrzymywała tyle działów, ile liczyła dusz. Działy wyznaczano rzucaniem lub wyciąganiem losów. „Sprawiedliwość” wymagała, ażeby w danym polu każda działka była tej samej wielkości co każda inna. Niekiedy kobiety sprawdzały łapciami tę lub inną działkę. „Mierzą po razy dwadzieścia to, co już wymierzyli, mierzą na sznury, sąźnie i żerdzie, a nawet na łapcie, przy czym troskliwie baczą na to, ażeby wierzchołek łapcia opierał się o piętę, istniały również karby, żreby; słowem, każdy szczegół doczekał się opracowania ponad miarę, rzecz doprowadzono do doskonałości artystycznej, a nawet podniesiono do godności obrządku” (Hleb Uspienski). Kiedy minister Kisielew za Mikołaja I, nakazał mierniczym urzędowym sprawdzić te pomiary w paru miejscowościach, okazało się, że włościanie wywiązali się byli bez zarzutu ze swego zadania. Zbyteczna nadmieniać, że sposoby podziału w zakresie każdego użytku były odmienne: inaczej dzielono się łąkami, inaczej użytkowaniem ze stawów rybnych, lasów itd. Wytworzona w polach szachownica wymagała regulowania wielu czynności, mir więc wyznaczał terminy wyjścia w pole do orki, siejby i żniw, a także jakie zboża mają być zasiane na którymś z pól, które zaś mają ugorować. W tym wypadku chodziło o to, żeby było wioskowe mogło paść się po całym obszarze, nie napotyając przeszkód w postaci już dokonanych zasiewów lub

jeszcze niezebranego plonu. Obowiązywała zasada pomocy wzajemnej i wyręki. Niekiedy istniało pole gminne, z którego plony szły na uczty wioskowe itd. Tak w ogólnym zarysie przedstawia się ustrój obszczyzny. Władanie gruntami było pospólne, lecz gospodarowanie indywidualne.

Zarówno w Rosji jak i gdzie indziej, pospólność rozwinęła się z wolnej okupacji. Każdy miał w zasadzie jednakowe prawo do tej ziemi, która jest bożą, niczyją, wszystkich — „tyle naszą, co powietrze” — i w potrzebie „poślubiał” ją, jak brzmi barwne wyrażenie murzyna: na upatrzonym kawałku pustkowia kładł swój znak w postaci kopców, płota, obcięcia gałęzi. Wioska jedynie dbała o pustkowia leżące tuż w pobliżu, obojętna na dalsze obszary — okoliczność, która umożliwiłi dynastom „z bożej łaski” zagarnięcie ziemi „bożej” na państwową, czyli swoją własność. Siekiera, zarzewie i motyka, a na wyższym szczeblu siekiera, socha i kosa były i są u rolników niższej kultury niczym nieskrępowane w swojej działalności. Naturalnie, wolnica taka była możliwa tylko dopóty, póki ludność nie odczuwała najmniejszego braku ziemi (zasada pierwszej okupacji w tej postaci jak powyżej, jest powszechna u rolników-barbarzyńców). Okupant mógł robić z wykarczowanym kawałkiem jak mu się podobało, a więc sprzedać, wydzierżawić, trzymać w zaniebaniu, byleby znaki władania istniały. Ale w miarę wzrostu ludności rodzą się protesty przeciwko takiej sprzedaży, nieużytkowaniu itd. i kawałek ziemi wraca do gromady wioskowej. Z biegiem czasu gromada usiłuje nałożyć inne jeszcze ograniczenia — wymaga, ażeby rolnik otrzymywał od niej pozwolenie na każdy nowy karczunek, ugory leżące powyżej pewnej liczby lat wracają do gromady, wyznaczony jest maksymalny okres czasu, przez który rolnik z danej ziemi może korzystać. A jeszcze później, gdy wszystka ziemia będzie już zajęta, a z powodu niejednakowej rozrodzności poszczególnych rodzin pojawią się duże nierówności w ilości posiadanej ziemi, dają się słyszeć głosy o wyrównaniu posiadanych gruntów. Aż w końcu po walkach, niekiedy długich i bardzo zażartych, dochodzi do wyrównań, jeszcze później zaś do systematycznego zlewania indywidualnych kawałków w masę pospólną i jej podziału co lat kilka pomiędzy obywatele wioski.

W całym tym rozwoju od wolnej okupacji do powstania drobiazgowo opracowanego ustroju wspólności wioskowej zbywa na pierwiastkach, które by przebieg ten czyniły koniecznym a jedynym. Punktem wyjścia jest poczucie, że ziemia i wszystko co się na niej znajduje jest własnością „bożą”, „plemienną”, „niczyją”. Ale tego rodzaju pierwiastki subiektywne nie posiadają takiej mocy nad umysłami, ażeby powściągnąć zdołały różne odchylenia i wyłomy, gdy pogład ów staje w poprzek interesom ludzkim. W każdym ogniwie tego przekształcania się pod wpływem najrozmaitszych czynników bądź tkwiących w samym człowieku, bądź w warunkach zewnętrznych, np. w topograficznym ukształtowaniu dzielnicy, może nastąpić przerwanie wątków, tzn. położenie kresu rozwojowi w kierunku wspólności wioskowej i jego zakrzepnięcie na danym ogniwie jako na ustroju ostatecznym. Co więcej, rzecz cała może utknąć na stosunkach, które powstały bezpośrednio z wolnej okupacji — zajęte kawałki ziemi stają się własnością bezwzględną a indywidualną użytkowników. Zdarza się, iż różne ograniczenia usiłują złagodzić tę bezwzględność posiadania różnymi zastrzeżeniami, np. że grunta w razie bezpotomnej śmierci właściciela wracają do ogółu. Nawet, gdy doszło już do wyrównań częściowych, zwyczaj ten może z wolna przybierać formę prawną lenna, aż w końcu gromada porzuca całkowicie jakąkolwiek ingerencję w tylko co nabyte prawa użytkowników-właścicieli. Albo może dojść do stosowania zasady władania wspólnego tylko tymi lub innymi o ograniczonym charakterze użytkami, np. w zakresie pokładów gliny, miejsc połowu ryb, zbioru orzechów leśnych, paśników, przy czym wkroczenie zasady wspólności do którejś z tych dziedzin nie obejmuje innych, a przede wszystkim nie nadwiera indywidualnego a dziedzicznego użytkowania gruntów ornych. Słowem, co wioska, a tym bardziej co dzielnica, to inny obyczaj w każdym z ogniw tego rozwoju, zarówno jeśli to ogniwo zakrzepło ostatecznie, jak i wtedy, gdy jest stanem przejściowym. Jak kryształy w roztworze, tak wszystkie te możliwości tkwią w zasadzie wolnej okupacji. Rozważając ów rozwój, należy o tym pamiętać, iż ogół uczestników wyróżnia się niezmierną biernością. Energiczniejsi członkowie bez przeszkody wyzyskują sytuację i mocną pięścią stają w obronie wykarcz-

wanego kawalka jako własności bezwzględnej i usiłują go powiększyć, a niekiedy osadzają na nim czeladź poddańczą. Inni członkowie opuszczają pospólność, nowe, obce osoby wstępują, prawo sąsiedzkie dające pierwszeństwo do wydzierżawienia lub kupna ziemi idzie w niepamięć. Przecież nie utrwalono zwyczaju w jakimkolwiek kodeksie, któryby dał oparcie dla regulowania wolnej gry namiętności i interesów ludzkich celem obrony pospólności! I w tych warunkach okoliczności z pozoru nieznaczące mogą odegrać rolę dużą. Taką jest narzucenie wioskom bardzo wczesnie solidarnej odpowiedzialności za powinności należne dynastie, a nawet dworowi prywatnemu, gdy ukaże się własność pańska i wioska będzie jej przysądzona lub na ziemi pańskiej zakładana, zwłaszcza jeśli ciężarami każdy członek gromady jest obarczony w jednakiej mierze. Jednakowe obowiązki sprawiają, iż w obrębie własności państwowej, a nawet pańskiej, lecz niczyjej w obrębie gromady, włościanie roszczą sobie jednakowe prawa do ziemi nimi obłożonej, osiągają zaś tę równość wyodrębnieniem pól równej jakości, podziałem ich co lat kilka na działki pomiędzy siebie itd. — słowem, na podłożu własności obszarnej ukazuje się wykończona drobiazgowo pospólność, mniejsza o szczegółowy mechanizm tego osiągnięcia. Co więcej, mamy wrażenie, że w ogóle „braterstwa“ hinduskie, obszczyzny rosyjskie wyłaniają się obficie spośród okupacji odbywającej się wśród ludności wyzwolonej już ze spójni rodowej lecz komuś podległej niż tam, gdzie zrab ustroju rodowego trzyma się mocno. Właśnie za sprawą tych okoliczności pospólności rodowe wyrosłe z zaścianków „szlacheckich“ przeciwstawiają się jaskrawo swoim ukształtowaniem w Indiach pospólnościom „braterskim“, które są właściwe ludności zależnej, rzeklibyśmy: „chłopskiej“, gdyby to powiedzenie nie fałszowało nieco rzeczywistości. Ale jeszcze raz należy podkreślić tę okoliczność, iż wzory obszczyzny powstają tu i owdzie niezależnie od poddaństwa i obciążeń państwowych — tak się dzieje u Kirgizów, Buriatów i w ogóle u stepowców azjatyckich. U Buriatów, w zamęcie pierwszej okupacji ukazują się pospólności ogniskujące się dookoła zagród dla bydła i sianożęci lub wplecione w ustrój irygacji doprowadzających wodę na pola, zjawiają się ograniczenia miejscowe powściągające samowolę poszczególnych



plemieńców, odbywają się wyrównania przywłaszczonych pożytków od osoby do osoby — w ogóle przyczynki, z których splotu wydobędzie się gromada ogarniająca wszystkich, a miarkująca świadomie użytkowanie z ziemi nawet rolnej.

Rozprężenie się pospólności w żywiolowym jej rozwoju odbywa się pod przemożnym wpływem warunków zewnętrznych. I znowu stosunki rosyjskie przewybornie uwydatniają tę sprawę: w Rosji na przestrzeni kilku dziesiątków lat odbyło się to, co gdzieindziej wymagało długich okresów czasu. Pospólność wioskowa nie budzi wśród uczestników przeciwko sobie poważniejszych niechęci, póki cała olbrzymia dzielnica jest nimi zapełniona, ludność zaś nie jest o tyle gęsta, ażeby dawał się odczuwać brak ziemi i zmuszał do gospodarki bardziej intensywnej. Życie wioski wlecze się wolnym tempem, poprzestaje na drobnych, lecz powszechnych ulepszeniach, takich które są dokonywane, co więcej mogą być dokonane dzięki łatwo osiąganey zgodzie wszystkich (*liberum veto* w obszczyźnie rosyjskiej!), a więc na skrupulatniejszym wyróżnianiu pól do podziału pod względem jakości, osuszeniu pospólnej łąki, przeznaczeniu pewnej przestrzeni leśnej na wieloletnią rotację żarową. Lecz nie ma tam miejsca na rozległą inicjatywę indywidualną, idącą przeciw istnjącemu zwyczajowi pospólnemu. (A tymczasem wobec bierności pospólniaków tylko taka inicjatywa może wyprowadzić wioskę z rutyny rolniczej i hodowlanej). Ale oto pojawił się w pobliżu rynek miejski, ziemioplody nabywają tam wyższej ceny, tak samo jak wytwory hodowli. Ktoś mógłby z tego ciągnąć duże korzyści, lecz albo nie może zupełnie uprawiać danej rośliny (np. chmielu, roślin farbiarskich itd.), albo może rozszerzyć dotychczasową uprawę (np. zbóż) bardzo nieznacznie, gdyż to nadwzięłyoby tradycyjny układ uprawnej rotacji pól. Również nie oplaca mu się namierzwać obficie swego kawałka, by otrzymać większe plony, bo po latach paru przy podziale masy pospólnej jego grunta mogą przypaść komu innemu, może jakiemś niedbałemu gospodarzowi. Nie wdajemy się w wyszczególnianie tego rodzaju czynników, których pod dostatkiem dostarcza okres rozprężania się pospólności rosyjskiej. Ci inicjatorzy, którzy w swoich wysiłkach uzyskania większego dochodu w rolnictwie napotykaają na opór ustawy wioskowej,

stają się jej wrogami, mającymi w rozporządzeniu moc argumentów, iż pospólność nie sprzyja postępowi rolnemu. Tak samo jak ulokowanie się ognisk intensywnego obrotu towarowego, wpływa wzrost ludności. Pospólność miałaby wyjście podnosząc wydajność gruntów dzięki lepszemu mierzwienu, przejściu od trójpolówki do płodozmianu, ale to jest rzecz niemożliwa — mnóstwo gospodarstw oświadcza się przeciw takim doświadczeniom. Pozostaje jedno: działki ulegają coraz większemu pomniejszeniu, coraz mniej wystarczają na dostatne wyżywienie ludności. Gospodarstwa opieszale, bierne ratują się pożyczką u zapobiegliwszych sąsiadów, lichwa zaczyna przybierać coraz większe rozmiary. Ta lichwa, która obecnie pożera pospólność hinduską i murzyńską i która podważała dobrobyt pospólności rosyjskiej. Tworzy się nieliczna garstka „kułaków” (tj. „pięściarzy”), zamożnych, ruchliwych gospodarzy bez skrupułu wyzyskujących ubogi gmin pospólny. A jednak ci wyzyskiwacze są wykwittem gospodarności, poczucia postępu rolnego, ruchliwości umysłowej! Ubogi sąsiad, obdłużony oddaje kułakowi do uprawy działkę, którą otrzymał przy podziale, i na niej pracuje jako jego połownik, albo pozostawia mu ją całkowicie i sam ucieka do miast wabiony możliwością zarobków. Jednak nie chce rozstać się ostatecznie ze swoim prawem do kawałka ziemi pospólnej. Gdyby ją podzielono na zawsze, mógłby ją sprzedać, nie zaś wyjść z gołymi rękami. Solidarnie z „kułakami” jest za ostatecznym podziałem gruntów, a raczej za niedokonywaniem nowego podziału. Sprzeczne interesy krzyżują się, odwołują się do pięści, do kłonicy — nieraz wioska rosyjska bywała widownią tłumnych, krwawych bójek.

Sprawa, która w Rosji zaczęła się na dobre po reformie włościańskiej 1861 r., ciągnęła się w innych krajach przez stulecia, a usunąwszy samo pospólne władanie, zachowała podział gruntów na pola tej samej jakości, szachownicę gruntów, obowiązkową dla wszystkich rotację upraw w każdym polu itd. W Niemczech A. Meitzen i G. Hanssen rozbiorem tych przeżytków zapisali swoje nazwiska na stronicach historii badań nad dawnymi stosunkami gospodarczymi. „Zaprawdę, w każdej wiosce (niemieckiej) tułamy się jak gdyby wśród zwalisk czasu zamierzchłego, starodawnością swoją przewyż-

szających romantyczne ruiny burgów średniowiecznych i murów miejskich. Wszędzie, w polu i dokoła chaty, możemy odnaleźć ślady sadyb dawniejszych, plany zaś posiadłości są jak księga osobiwa, która w swoich hieroglifach zachowała poglądy i zamiary założycieli".

9. Wielka rodzina jako ustrój gospodarczy i jej odmiany. Zadruga: podział majątku ruchomego in capita, nieruchomego per stirpes. Pospólność wioskowa, gdy potrzebuje liczniejszych rąk, odwołuje się do wyreki sąsiedzkiej. Istnieją w niej różni funkcjonariusze publiczni, jako to pasterze, gajowi, niektórzy spośród rzemieślników, a w gminach hinduskich nawet pracz (zamiast praczki), astrolog, bard i bajaderka. Natomiast pojedyncza rodzina, gospodarująca poza obrębem pospólności, musi poprzestać tylko na osobach w jej skład wchodzących. Ażeby podolać wszystkim zadaniom, urasta w rozmiary. Dokonywa tego różnymi sposobami. U Murzynów, naturalnie wśród rodzin zamożniejszych, znajduje wyjście z tej sytuacji w poli gamii. W osadnictwie odosobnionym, jak w górach lub kniei, gromadzi w rodzinie monogamicznej większą liczbę członków dzięki przebywaniu obok siebie w jednym gospodarstwie paru pokoleń, zazwyczaj aż do czwartego.

Należy poświęcić słów parę gospodarstwu poli gamicznemu.

Rodzina wielożenna bynajmniej nie jest wynalazkiem lubieżników, którzy pragnęli pomnożyć jedynie okazje rozkoszy zwiększaniem liczby żon. Jest urządzeniem gospodarczym, które umożliwia w łonie rodziny rozległy podział pracy, zaspakaja zaś potrzeby fizjologiczne mężczyzn jedynie mimochodem (K. Bücher). W wiekach średnich pan przebywał z małżonką swoją we dworze, dokoła którego leżały jego włości, poddani zaś nań pracowali, przy czym pan korzystał nie tylko z ich robocizny i danin, ale także mógł korzystać z wdzięków dziewcząt, a nawet poddanych mężatek. W Afryce dokoła chaty męża ciągną się chaty żon, do których nie zawsze zagląda, choć skrupulatnie korzysta z ich pracy, tę i ową osadza zdala od siebie na odrębnym gospodarstwie i pozwala, żeby miała przy sobie jego zastępcę, lecz dzieci spłodzone z takich związków są jego dziećmi, które dawniej zaprzedawał był w niewolę. W ogóle wielkich rozmiarów rodzina wielo-

żenna jest właściwie wielkim gospodarstwem, opartym na licznym zastępie kobiet, tych głównych pracownic okresu barbarzyńskiego. Chata pana-męża ma własne pola, na których żony pracują na rzecz męża. Nadto każda z nich ma własne pole i własny majątek i wysiłkiem swoim utrzymuje siebie i dzieci, a nadto z plonów swoich czyni duże „upominki” mężowi. Niekiedy wśród warstw mniej zamożnych kilku braci, każdy ze swoją wielożenną rodziną, tworzą jednię, do której należą także synowie i synowcy żonaci. Na seniorze ciąży obowiązek rządów w tym olbrzymim gospodarstwie, nabywania żon dla mężczyzn wspólnoty, wydawania dziewcząt za mąż i wymierzania kar. Naturalnie w tym schemacie istnieją różne odmiany. Zresztą takie gospodarstwa poligamiczne wszędzie są obecne, gdzie istniało wielożeństwo. U Kirgizów np. bracia, a także następne pokolenie mężczyzn, przebywali pospołu, zajmując niekiedy do dziecięciu kibitek, stada i gotówka były wspólne pod zarządem seniora. Jego żona najstarsza była główną gospodynią i rozkazywała innym żonom męża swego i pozostałym kobietom. Senior wydawał dziewczęta za mąż, kupował żony dla mężczyzn, karał członków wspólnoty, nawet ferował wyroki śmierci, a kiedy umierał, władzę po nim obejmował najstarszy syn, któremu będący jeszcze przy życiu stryjowie winni byli posłuszeństwo.

Zatrzymaliśmy się specjalnie nad Kirgizami, gdyż wraz z nimi podchodzimy ku ustrojowi wielkiej rodziny — „zadrugi”, jak brzmi wyrażenie południowo-słowiańskie. Taką wielką rodzinę do ostatniej chwili można było oglądać w różnych punktach półwyspu bałkańskiego, na północy Rosji i w pobliżu Uralu, u różnych ludów kaukaskich, u Kabyłów w północnej Afryce, w Pirenejach pod różnymi nazwami. Mamy powody podejrzewać jej istnienie we wczesnej Polsce, a sporadycznie dotrwała do naszych czasów u górali ruskich na Litwie i na Białorusi. Tworzy rdzeń, acz już podważony, stosunków wiejskich w Chinach, a była podstawą gospodarczą Celtów kornwalijskich w północnych Włoszech oraz różnych dzielnicach Francji średniowiecznej. Rozmiary jej bywały niekiedy bardzo poważne. Niektóre zadrugi południowo-słowiańskie liczyły nie raz do stu uczestników, a na Kaukazie jeszcze w przeszłym wieku po trzydzieści kołysek stało w wielkiej izbie w zadrudzie

tamtejszej. Toczą się spory o rodowody tego ustroju. Jedni chcą widzieć w nim wytwór okresu późniejszego, kiedy celem zmniejszenia ciężaru podatków od liczby dymów, bracia pozostawali w niepodzielnym gospodarstwie. Lecz dość prześledzić gospodarstwa wielożenne u różnych koczowników stepu azjatyckiego i europejskiego, więc u różnej nazwy Tatarów, Kirgizów itd., żeby ujrzeć jak tamtejsza rodzina wielożenna jest jak gdyby pierwszym ogniwem pasma rozwojowego, którego dalszym będzie zadruga, oraz uwzględnić zaczątki tej rodziny u czerwonoskórych, gdzie niepodobna mówić o wpływie opodatkowania. Mniejsza zresztą o rodowody. Faktem jest, że w zamian pospólności wioskowej w okresie rolnictwa barbarzyńskiego jest obecna w wielu miejscowościach wielka rodzina jako ustrój jej współrzędny, lecz lokujący się na samotnym pustkowiu, gdzie niepodobna spodziewać się wyřeki sąsiedzkiej. Zwłaszcza górskie okolice ze swoim rolnictwem, a jednocześnie rozległą hodowlą zwierząt przez jakieś pół roku pasących się w znacznej odległości od domostwa, sprzyjają takim pospólnościom rodzinnym na podłożu rozleglejszych pospólności pastwiskowych i leśnych.

Zasady serbskiej zadrugi w sposób następujący określa statut policki: „I pokąd nie rozdziela się bracia, albo inni uczestnicy, dotąd wszystko im wspólne: i dobro, i zło, i korzyść, i szkoda, i długi, komu są dłużni, lub kto im jest dłużny, wszystko to im wspólne, a kiedy się rozdziela, wtedy każdemu jego dział”. Gospodarstwem zarządza domaczyn, zwykle najstarszy z uczestników, obok niego nad gospodarstwem kobiecym trzyma ster domaczycyca. Sprawy gospodarcze załatwia się zwykle przy wieczerzy. Do spożycia każdy ma prawo według swoich potrzeb, przy czym w stosunku do rzadszych przedmiotów obowiązuje zasada kolejności. Np. u Gruzinów kupują ubrania dla członków rodziny po kolei; ktoś, gdy dostał nową suknię, otrzyma następną dopiero wtedy, gdy wszyscy inni zostaną zaopatrzeni. I to samo obowiązuje względem uczęszczania na odpusty (Abazadze). Tej samej zasady trzymają się względem pokarmów: jeśli u Kabyłów ktoś jadł jakiś smaczny kęs, np. kurę, to powtórnie dostanie nie rychlej, aż wszyscy członkowie wielkiej rodziny zakosztują tej przyjemności (Hanteau i Letourneux).

Wielka rodzina urasta z poszczególnego stadła małżeńskiego, aż póki liczbą członków swoich nie przekroczy godziwej miary. Wtedy rozpada się na pojedyncze stadła małżeńskie, z których znowu każde z biegiem czasu przekształca się w wielką rodzinę. Podział odbywa się zwykle w czwartym lub piątym pokoleniu, przy podziale rozróżnia się majątek ruchomy, który dzieli się *in capita*, natomiast nieruchomości idą do podziału *per stirpes*. Jest to zasada ogólna, od której istnieją naturalnie różne odchylenia miejscowe. Niekiedy w Indiach z takiego zaścianka rodowego rozwija się wspólność szczególnego rodzaju, tzw. *pattidari*, wspólność nieraz licząca kilkaset lub parę tysięcy uczestników, a jednak w niej podział wspólnych dochodów i ciężarów bywa dokonany *per stirpes*, które z biegiem czasu rozgałęziają się coraz bardziej. W tych warunkach bard jest osobą nieodzownie w niej potrzebną: przechowuje w pamięci swojej rodowody ze wszystkimi rozgałęzieniami, sięgając paruset lat w przeszłość. Jest to najważniejsza instancja, do której odwołują się uczestnicy w razie zatargów. Ale pamięć ludzka, nawet najlepsza, nie jest nieomylna. Wprowadzono więc obrachunek w rupiach, rozpadających się na *anny* i inne niższe jednostki monetarne — podział ten przeciągnięto aż tak dalece, że rupia rozpada się na 1.000.152 datuli, przy czym jedna datula w majątku liczącym 5.000 akrów równała się 21 yardom kwadratowym. Zresztą, jak wszelkie tego rodzaju ustroje, *pattidari* nie przedstawia jednolitości: część gruntów ornych może być podzielona, z innej wszyscy użytkują, ale kolejno, jeszcze inna, zwykle pustosze, pozostaje w użytkowaniu wspólnym. Zdarza się, że nawet wszystkie grunta podzielono ostatecznie, uczestnicy zaś rozdzielają pomiędzy sobą jedynie otrzymywane daniny, a nawet tylko obowiązujące ich ciężary. Każda z tych odmian uwieczniła swoje zasady w terminologii bieżącej hinduskiego prawa zwyczajowego. Pomimo całej drobiazgowości w obrachunkach rodowodowych, zdarza się — mniejsza o powody — iż ponożone ciężary podatkowe przestają odpowiadać prawom wynikającym z drzewa rodowodowego. Jest to jednym ze źródeł puszczenia w niepamięć rodowodów i opartej na nich zasady *per stirpes*. Naówczas, w swoim ostatecznym ogniwie,

szlachetnego, tj. wolnego pochodzenia pattidari przestaje się różnić od nieszlachetnej pospólności „braterskiej”.

Ale wracamy do zadruży. Zadruża trzyma się mocno zwłaszcza w tych społecznościach, gdzie istnieje w całej mocy kult dziadów. Groby rodziców, dziadków aż do dalekich przodków leżą w obrębie posiadłości rodzinnej. Na żyjącym pokoleniu ciąży obowiązek dbania o nich i pozostawienia synów, którzy dalej będą pamiętali o obowiązkach względem dziadów. Majątek właściwie nie należy do członków z osobna, ale do ogółu, do rodziny, tj. do istoty zbiorowej, nie wymierającej, jeno zmieniającej swój skład ze śmiercią jednych osób, przybywaniem innych. Taka rodzina była jednią trwałą, tak zbudowaną, ażeby wytrwać po wieki. Majątek był własnością nie tylko żyjących, ale i zmarłych, jak również tych, którzy dopiero przyjdą na świat. Rodzina tworzyła własny kult religijny, który posiadał odrębne zasady, hołdował własnej obrzędowości — taka jest jeszcze dzisiaj spójnia w dobrze prosperujących rodzinach chińskich typu prawowiernego i taką była w Grecji i w Rzymie. Zadruża w Europie średniowiecznej nie posiadała tej spójni ideowej — chrystianizm nie znał i znać nie chciał kultu ubożet (dziadów). Jednak zadruży trzymały się w jego atmosferze w ciągu wieków. Wprawdzie na Zachodzie u ludów celtyckich, w Kornwalii, w Irlandii, rozprzęgły się bardzo wczesnie, lecz na Bałkanach przetrwały do ostatnich czasów niewątpliwie dzięki kultowi przodków („sławie”). Ustrój ten rozbrzmiewał harmonią wewnętrzną. „Dom zadrużny ściągał bogactwo, inokosztina (tj. rodzina indywidualna) ubóstwo”. I kiedy nadchodziła chwila, iż zadruża dzieliła się na poszczególne rodziny, dokonywała tego wśród płaczów, uczestnicy z konieczności poddawali się temu nieszczęściu, ponieważ rodzina urosła ponad wszelką godziwą miarę, lecz w nadziei, że z każdej rodziny indywidualnej powstanie kiedyś nowa zadruża. Ta harmonia wewnętrzna trwała, dopóki na olbrzymiej przestrzeni istniały tylko zadruży, życie całe dzielnicy toczyło się w łożysku gospodarstwa naturalnego, otoczenie nie podsuwało człowiekowi pokusy, ażeby doświadczył widowni rozleglejszej. Tylko natury awanturnicze odrywały się od pnia rodzinnego, szły w świat i zwykle przyplącały głową swoją wyłamanie się spod tradycji. Lecz istniały w zadrudzie zwyczaje, które w pew-

nym okresie miały zacząć ją rozsadzać. Edykt Rothara Longobardzkiego głosi, że cokolwiek któryś z braci pozyskał w służbie królewskiej jako nagrodę za czyny i usługi wyjątkowe, jest jego własnością wyłączną, do której bracia jego żyjący z nim w wspólnocie nie mają żadnego prawa. W Czarnogórze łupy wojenne i pochodzenia korsarskiego nie szły do wspólnej kasy w zadrudze. Otóż z chwilą, gdy w pobliżu ukazały się ogniska handlowe, gdy wyjście z zadrugi stało się łatwe i nie groziło niebezpieczeństwem życia, a nadto niekiedy dawało zarobek pod względem rozmiarów nieznanym zadrudze, zadrudzi nie chcą oddawać tego dochodu do wspólnej kasy, a jeszcze bardziej ich żony, w wielkiej rodzinie będące bez głosu wobec przewagi starszych kobiet trzymających ster rządów w części niewieściej wspólnego pożycia. I ci, którzy opuszczają zadrugę, nie chcą obecnie odchodzić z pustymi rękoma. W całej mocy działają wszystkie te czynniki, które są obecne przy rozpręganym się pospólności wioskowej. Do nich przyłącza się jeszcze rokosz kobiet. Marzą one o wyzwoleniu się spod ręki wielu „teściowych”, niekiedy spod umizgów teściów, spod daniny „snochaczestwa”<sup>1)</sup>, o swoim własnym indywidualnym gospodarstwie. Dawniej o tym nie myślały, bo całe otoczenie uniemożliwiałoby nawet jakiegokolwiek marzenie o wyzwoleniu. Lecz, kiedy zamiast dawnej harmonii w zadrudze, sprzeczności życia jęły ją rozsadzać i pobyt w niej staje się piekłem, kobieta podnosi rokosz i zaczyna buntować męża. „Słowa szeptane na poduszce rozsadzają zadrugę...”

10. Nieco uogólnień i uzupełnień. W rozpatrzonych wyżej ustrojach, pracownik jest wolnym człowiekiem — wolnym gospodarzem na uprawianym przez siebie kawałku ziemi, mniejsza czy jako właściciel, czy jako członek pospólności rodzinnej, rodowej lub wioskowej. Wszystkie one grzeszą wielką niedbałością o wolne przestwory, które znajdują się poza obrębem wiosek wolnych kmieci lub pospólności. Przestrzeń, którą obejmuje wzrok patrzącego z wioski lub jak daleko doleci głos ludzki rozlegający się z takiego miejsca, jedynie inte-

<sup>1)</sup> Termin rosyjski używany na oznaczenie pożycia małżeńskiego synowej z teściem. Teścia ożeniono, gdy był jeszcze wyrostkiem, z kobietą o lat kilka starszą (potrzebna była robotnica do domu), ten tak samo żeni wcześniej swego syna i żyje z jego żoną.



resuje gromadę. Co dzieje się na pustkowiu poza tą odległością — ponieważ ta rzecz w niczym nie bruździ członkom pospólności — na razie jest sprawą dla nich obojętną. Pustkowiec te należą do plemienia, lecz w obrębie plemienia są jak gdyby niczyje. Korzystają z tego seniorowie, spośród których wyłania się zwolna hierarchia przyszłych dynastów. Biorą pod swoją rękę tę ziemię niczyją. Zwłaszcza pasy ziemi neutralnej idące pomiędzy plemionami, z których połączenia ukaże się kiedyś jednostka społeczna rzędu wyższego — państwo, staną się w ich rękę poważnym źródłem wzrostu władzy. Zbyteczna nadmieniac, że rzecz wygląda odmiennie w każdym plemieniu zgodnie z taką samą rozbieżnością w zakresie potęgi dynastów. „Ani zwyczaj dawny, ani władza wodzów nie kształtują się jednostajnie w obrębie archipelagu (Fidzyjskiego). Zwyczaj różni się bardzo. Dziedziczenie np. w jednych miejscach odbywa się w linii męskiej, w innych — żeńskiej. A ci, którzy są obznajmieni z tym przedmiotem nie potrzebują objaśnienia, jak wielkie skutki ta okoliczność wywiera na zwyczaje ludu. A także wodzowie w jednych miejscach są bardzo potężni, wówczas gdy w innych rozporządzają małą powagą” (L. Fison). Wzrost potęgi seniorów, a u ich boku wodzów wojennych zaczyna się już w ostatnich fazach barbarzyństwa, a z nią wyodrębnianie się obszarów książeńcych od ziemi, na której siedzą wolne pospólności, i ukazywanie się, obok wolnych kmieci, ludności półzależnej lub nawet mocno zależnej, oraz czeladzi niewolnej. O powstaniu tej hierarchii (seniorów i ukazaniu się ludności, w stopniu mniejszym lub większym niewolnej, rozstrzyga cała moc czynników, a więc prawo starszeństwa w rodzie i wyodrębnienie się w nim linii pierworodnej (między innymi linii „wielkich mężów” w klanach szkockich), powstawanie czeladzi spośród dzieci nieprawych, sadowienie się w plemieniu przybłędów obcego pochodzenia i osadzanie na pustkowiach wziętych do niewoli jeńców, charakter danin i powinności na rzecz seniorów, do jakich w ciągu wieków wdrożyła się ludność wolna, przyłączenie orężem terytoriów plemienia podbitego i obłożenie jego ludności różnymi dodatkowymi powinnościami, w końcu ukształtowanie siły zbrojnej w plemieniu i stosunek pomiędzy pospolitym ruszeniem a drużyną książeńcą. Już w przede dniu tworzenia się państw ten dorobek dziejowy po-

siada w niektórych szczepach poważne rozmiary, lecz wyda ostateczne swoje skutki dopiero w okresie powstającej państwowości w postaci własności pańskiej i jej hierarchii (feodalizm), przymocowania wolnych kmieci do ziemi, przymusowej pracy ludności niewolnej itd.

Temu pasmu przekształceń towarzyszy coraz rozleglejszy obrót wymienny produktów. Do jego początków zwrócimy się obecnie. Ale tutaj należy zaznaczyć rolę destrukcyjną tej wymiany na pierwotne ustroje użytkowania ziemi: w pewnym okresie swego rozwoju obrót towarowo-pieniężny rozpręga spójność wioskową, niesie zagładę zadrudze (jak to już zaznaczono we właściwym miejscu), że już nie będziemy mówili o oddziaływaniu na stosunek panów do włościan, wśród których wzrost cen na ziemiopłody obudzi chciwość na ziemię uprawną poddanych i zachęci do oczyszczenia z nich majątków (rugi poddanych).

## II. POCZĄTKI GOSPODARSTWA TOWAROWO-PIENIEŻNEGO.

1. Czynniki powściągające gromadzenie dóbr w okresie pierwotnym (wspólność spożycia, mała wydajność pracy, niezdolność do łożenia napiętego a systematycznego wysiłku). Rola ozdób. Punktem wyjścia dla gospodarstwa towarowo-pieniężnego jest ukazanie się w społeczeństwie „skarbow“, tj. nagromadzenia produktów ponad potrzebę posiadaczy. Ale skarb, zanim stanie się zjawiskiem dość powszechnym w społeczności, potrzebuje wieków, ażeby przemóc przeszkody będące na jego drodze.

W liczbie tych przeszkód zwłaszcza trzy (prócz mnóstwa pomniejszych) odgrywają poczesną rolę. Są to: 1. Spółnictwo spożycia właściwe niższemu szczeblom kultury. 2. Mała wydajność ręki ludzkiej. 3. Nieudolność człowieka do łożenia systematycznego a napiętego wysiłku.

O spółnictwie pierwotnym była już mowa. Z tego powodu przytoczono między innymi oświadczenie Morgana, iż wśród Indian w obozie nie może istnieć głód, jeżeli jego jakaś część posiada nadmiar wiktuałów. Również podkreślono, iż spółnictwo to ujawnia się w gościnności, która nie jest wtedy jedynie cnotą, ale obowiązkiem, nie jest łaską, ale czynem, którego

potrzebujący ma prawo się domagać. Niekiedy to rozpoznanie wiktuałów, które są wtedy zasadniczym dobrem, odbywa się za pośrednictwem uregulowanych przez zwyczaj upominków lub świadczeń o innej nazwie. Wspólność to było swego rodzaju asekuracją wzajemną członków tego samego obozu lub osiedla w otoczeniu, w którym jeszcze nie istnieje umiejętność przechowywania wiktuałów łatwo się psujących, a w którym z drugiej strony zapewnienie sobie pożywienia polowaniem zależy od mnóstwa okoliczności i może w każdej chwili zawieść nadzieje — dzisiaj w otoczeniu jednego myśliwego, jutro drugiego. Ów termin „asekuracji” podsunęliśmy dowolnie: w umysłowości pierwotnej jest nieobecna świadomość o niej. Wśród mnóstwa faktów znaleźliśmy tylko jedną wzmiankę dotyczącą Eskimosów a wysuwającą pojęcie takiej wzajemności. Zresztą rzecz możliwa, iż autor niewłaściwie ujął w normy europejskie pobudki postępowania tego ludu). Jednak owa asekuracja istnieje, tworzona w ciągu wieków żywiołowo w drodze różnych okazji i doświadczeń, lecz nie sformułowana i zamaskowana wśród uczuć życzliwości i przychylności, jakimi człowiek darzy człowieka. Przy tym istnieją prawdopodobnie duże wahania w napięciu tej życzliwości — od spełniania czegoś w sposób formalny jako obowiązku aż do znajdowania największej satysfakcji w tym, że ktoś zadowolony raczy się moimi wiktuałami. „Wszelkie próby — mowa o Australczykach — tym łacniej zyskania władzy nad tubylcami drogą nierównego traktowania ich, zgodnie z zasadą: *divide et impera*, okazały się daremnymi. Darowywano pilniejszemu spodnie, ażeby podnieść w nim sobkostwo i przeciwstawić go innym mniej szczęśliwym, a już następnego dnia odbywać zaczynały wędrówkę po różnych niepowołanych nogach, może nawet będą przyozdabiały nogi tego, którego pragnęliśmy upokorzyć. Daję jednemu porcję mąki — rzecz bardzo pożądaną, i żywię nadzieję, iż wywołam u innych zazdrość. Ale oto ognisko zapłonie wesoło tego samego wieczora, a na nim przyrządzą podpłomyki i wszyscy bez różnicy pomiędzy twoim a moim zasiadają do uczyty, póki pozostaje choć jedna kromka”. O Eskimach Nansen zaznacza, iż śpieszenie z pomocą sąsiadowi jest najpierwszym obowiązkiem społecznym. Samo istnienie niewielkiej społeczności zależy od tego prawa, jako też od zwy-

czaju trzymania się pospołu zarówno w szczęściu jak w niedoli. Ciężkie życie przekonało Eskima, chociażby był najsprawniejszy i umiał dbać o siebie, iż mogą nastać czasy, kiedy bez pomocy towarzyszy znalazłby się w sytuacji bez wyjścia — a zatem najlepiej jest wspierać innych. Kajak, ubiór, który wkłada Eskimos, wsiadając do kajaka, narzędzia myśliwskie były własnością osobistą, wysoko szanowaną. Ażeby utrzymać rodzinę, mężczyzna musiał mieć zawsze pewność, że znajdzie je na miejscu, gdzie je położył. Nie udzielano więc nikomu tych przedmiotów. Ale, „jeśliby ktoś posiadał więcej nad dwa garnitury ubrania, opinia publiczna niewątpliwie zmusiłaby go do pozwalania innym ich użytkowania. Zwyczaj, iż nie trzeba zwracać właścicielowi przedmiotu pożyczonego, gdy został zgubiony lub uszkodzony, lub wynagradzać go za szkodę w tym wypadku wyrządzoną, jaskrawo świadczy, że jeśli ktoś miał jakąś rzecz zaoszczędzoną i ją wypożyczał, to uważano, że jest mu niepotrzebna, nie przywiązywano do niej tego samego prawa własności, jak do sprzętów potrzebniejszych, ale ją traktowano na równi z dobrami, którymi władano pospólnie”. Skutkiem tego jedynie pierwszorzędni myśliwi posiadali dwa kajaki, jeden na morze otwarte, drugi na wody międzylądowe; jeśli ktoś miał trzy kajaki, ciążył na nim obowiązek udzielania jednego z nich na żądanie każdemu z krewniaków lub współmieszkańców osiedla. Prędzej lub później tracił go. A zatem „prawo osoby pojedynczej do posiadania własności ponad określoną ilość, acz nie było miarkowane wymaganiami zwyczaju, to jednak było zazdrośnie kontrolowane przez społeczność. Faktycznie, nadmiar posiadany bądź przez osobę poszczególną, bądź przez pospólność — obliczony według poziomu uświęconego tradycją lub zwyczajem — przechodził do rąk tych, którzy mniej mieli”. Z przejściem do osiadłego trybu życia bodaj ubywa owej życzliwości biernej, z jaką ktoś ze swoich rzeczy pozwala komu innemu wziąć przedmiot zbyteczny, ale jednocześnie dokoła każdego plemienia powstaje jeszcze gęstsza sieć obowiązkowych świadczeń i upominków. Zbywa może na dawnej serdeczności, ale rezultat jest ten sam: co jest ponad potrzeby plemienia, przechodzi do jego współrodowców, sąsiadów lub towarzyszy zbiorowego czynu. (Zresztą na niższych szczeblach kultury

niepodobna oczekiwać, ażeby członkowie jakiegoś plemienia posiadali takie nadmiary przedmiotów ponad swoje potrzeby, o ile nie chodzi o dary przyrody w pewnych porach roku).

b) Człowiekowi pierwotnemu trudno posiadać nadmiar narzędzi i sprzętów ponad potrzeby. Dzida lub oszczep, maczuga, tomahawk kamienny, nieco drobiazgów zdobniczych — oto cały majątek plemieńca na niższych szczeblach kultury. Człowiek nosi go na sobie i z sobą. W muzeach etnograficznych w dziale np. kultury australijskiej zgromadzono wszelkie możliwe jego narzędzia i sprzęty. Ta wystawa całkowicie wyczerpująca, wraz z czółnem, przedmiotem najwięcej miejsca zajmującym, mieści się na przestrzeni niespełna dziesiątka metrów kwadratowych! Starczy zestawić siekierkę kamienną z naszą żelazną, igłę kościaną z naszą stalową, skrobaczkę z krzemienia, którą człowiek pierwotny wygładza powierzchnię czółna lub tarczy, z heblem, ażeby zrozumieć, że praca jego, acz uciążliwa, jest mało wydajna. A jednak ile pomysłowości włożył on w swoje narzędzia i oręż, jakim poczuciem piękna wyróżniają się niekiedy liczne wytwory jego ręki! Starczy zatrzymać się choćby nad zastosowaniem ognia, tego pożytecznego narzędzia pracy u wielu ludów. Zręcznie posługując się ogniem, człowiek ścina drzewo, ze ściętego pnia ogniem wypala łódź. Ażeby w łodzi wyłobionej za pomocą ognia i muszli umocować pale lub deski do siedzenia, napełnia ją wodą, do której rzuca rozpalone do najwyższego stopnia kamienie, a kiedy woda osiągnie możliwie wysoką temperaturę i rozszerzy wewnątrz czółna, umieszcza owe deski pomiędzy ścianami łodzi, a wtedy te zbliżając się, gdy woda ostygnie, silnie trzymają umieszczone pomiędzy nimi siedzenie. W takich warunkach, a więc rozporządzając prostaczymi narzędziami, gdyby człowiek nawet nie oszczędził swego wysiłku i wciąż przesiadywał nad robotą, jednak liczba przedmiotów przezeń posiadanych nie mogłaby być znaczna. Zbyteczna pod tym względem mnożyć przykłady, które w gruncie rzeczy byłyby tylko wiązańką anegdot, mniej lub więcej zręcznie dobranych. Zamiast wielu, dość będzie poprzestać na jednej ilustracji, już z wyższych okresów barbarzyństwa. Mianowicie na mieleniu mąki. Praca ta ciąży na kobiecie, która klęczy przed płaskim większych rozmiarów kamieniem i trzymając

w ręku nieznaczej wielkości gład, który z biegiem czasu przybiera kształt bochenka, miazdzy ziarno. W Afryce dla zaopatrzenia w mąkę trzech osób trzeba ciągłej pracy jednej robotnej młodej kobiety. Rzecz charakterystyczna, stosunek taki, właściwy dzisiaj Arabom, Egipcjowi itd., istniał także w gospodarstwie Odyseusza, w którym podczas jego nieobecności dwanaście kobiet spędzało dzień cały na mieleniu mąki dla siebie i pozostałych dwudziestu czterech osób zwolnionych od tej roboty.

Zdarzają się już za czasów barbarzyńskich wyroby rzadkiego piękna i dobroci, a przede wszystkim wymagające dużego wysiłku i wytrwałości. Na ich wyrób potrzeba lat całych, a nie-raz paru pokoleń. Otoczenie nadaje im imię własne. Są np. naszyjniki składające się z mnóstwa paciorków, długości każdy kilku centymetrów, a w średnicy mające dwa-trzy centymetry, przedziurawionych w pobliżu któregoś z końców, a niekiedy wzdłuż całej osi. Piaskowcem wygładza się ich powierzchnię, piasek zaś lub pumeks przy użyciu niewielkiego, twardego drewniaka są jedynymi środkami umożliwiającymi przedziurawienie. Niektóre z tych naszyjników brazylijskich wymagały do swego wykończenia aż dwóch pokoleń. Oto topór wojenny 15 cali długi, wyrobiony z przezroczystego nefrytu, przechowywany jako relikwie po przodkach, na polu bitew był najcenniejszym łupem wojennym, a pięć razy zstępował do grobu przy grzebaniu przodków ostatniego swego posiadacza. Takie z powodu swojej doskonałości mające swoje imię topory, maczugi, łodzie, kotwice, kolczyki, niektóre tkaniny i maty są drobiazgowo opiewane w eposie barbarzyńskim. Jeden z bohaterów eposu polinezyjskiego wyciosał z jaspisu dwa topory, naturalnie imienne, tymi toporami wyżłobił dwie łodzie, tak samo imienne, i również imienne były kotwice z kamienia u tych łodzi — jedna to „skrzywiony kamień”, druga „grzmiące niebo”. Jeden z toporów rozłupał się stosunkowo nie tak dawno, z ułomków jego zrobiono kolczyki słynące wśród plemienia także pod imienną nazwą, zawieruszone zresztą podczas trzęsienia ziemi już w w. XIX. Przedmioty takie świadczą, że nawet na niskim stopniu kultury człowiek nie cofa się przed wyłożeniem wielkiego wysiłku, otoczenie zaś umie to ocenić, nadając nazwę własną przedmiotowi. Ale z drugiej strony

właśnie ta okoliczność wskazuje, że takie przedmioty są rzadkie w plemienu. W ogóle niewiele jest tam rzeczy ponad potrzeby bieżące lub jeszcze częściej, wcale ich nie ma.

c) Do powyższych dwóch czynników powściągających powstanie skarbów dołącza swój wpływ jeszcze trzeci, a mianowicie nieudolność człowieka pierwotnego do wysiłku systematycznego w ciągu dłuższego okresu czasu. Dzisiaj nawet na najniższych szczeblach kultury, które przecież są przedzielone całą przepaścią od umiejętności i zasobów posiadanych przez dalekiego naszego przodka, człowiek umie w ciągu wielu dni, a nawet miesięcy i lat siedzieć nad wyrobem jakiegoś przedmiotu. Ale taka wytrwałość bynajmniej nie jest zjawiskiem powszechnym. Człowiek pierwotny łoży wysiłek, jeżeli działa jakaś silna pobudka wewnętrzna, a więc potrzeba zaspokojenia głodu, chęć wyróżnienia się przed innymi, a niekiedy może zamiłowanie artystyczne, które nakazuje mu nadać przedmiotowi dużą moc i piękny wygląd. Na niższych szczeblach kultury plemię czerpie środki utrzymania z myśliwstwa i rybołówstwa. Są to zajęcia nieraz bardzo uciążliwe. Wymagają wielkiego napięcia nerwów, nieliczenia się z przeciwnościami, ale jednocześnie podniecają, jak to dzisiaj jeszcze zdarza się spotykać wśród naszych myśliwych. Ale jak wąż boa, gdy połknie zwierzynę, potrzebuje dłuższy czas pozostawać w bezczynności, tak i u człowieka pierwotnego, po względnie krótkich okresach takiego napiętego wysiłku, ciągnie się bodaj dłuższa przerwa wczasów. Bez przymusu ze strony głodu lub bez innej możnej wewnętrznej podniety stroni on od pracy, przynajmniej mężczyzna, bo kobieta w tym okresie pracuje systematyczniej i więcej niż tamten. Doświadczyli tego przedsiębiorcy europejscy, którzy usiłowali zaprząć u siebie do pracy myśliwych Australii i Ameryki. Tubylec pracował zachęcony wynagrodzeniem w postaci tytoniu i innych przedmiotów, ale po paru tygodniach zniknął, i to często nawet nie doczekawszy się wynagrodzenia — wolał je porzucić niż nadal pracować. Właśnie te doświadczenia kolonialne przyczyniły się do urobienia przekonania, że zarówno myśliwi z okresu dzikości i barbarzyństwa, jak nawet początkujący rolnicy grzeszą niepomiernym lenistwem. Jest to przesada. Wprawdzie filozofia życia, którą wyznają, każe im napawać się życiem i pracować tylko po to,

ażebym żyć, nie zaś dla pracy. „Kumotrze — tak ubolewa przed Europejczykiem Karaib — jesteś bardzo nieszczęśliwy, bo narażasz siebie na zbyt dalekie i niebezpieczne podróże. Namiętność posiadania bogactw skłania cię do tych mozołów i obdarza troskami! Kłopotujesz się nietylko o to, co posiadasz, ale i to czego poszukujesz. Lękasz się nieustannie, ażebym cię nie okradziono na lądzie lub morzu, ażebym ocean nie pochłoniął podczas rozbicia okrętu twoich towarów. Starzejesz się przedwcześnie, włosy twoje siwieją, czoło pokrywa się zmarszczkami i tysiąc trosk gnieździ się w twoim sercu. Wielkimi krokami zbliżasz się do grobu. Dlaczego nie przestajesz na tym, co twój kraj wytwarza? Czemu nie pogardzasz bogactwem jak my to czynimy? Czy mienie twoje ocali ciebie od śmierci? Czy zabierzesz je z sobą do grobu?” (Rochefort). A zatem, o ile nie chodzi o bezpośrednie spożycie, człowiek woli się zabawić i w ogóle próżnować.

Dopiero rolnictwo wprzęga człowieka do pracy systematyczniejszej. Przodek nasz, oswoiwszy dzikiego konia, który na stepie harcował od świtu do zmierzchu i w radosnym samopoczuciu ćwiczył swoje mięśnie, poddał go trwającej wieki tresurze, aż póki nie otrzymał stworzenia cierpliwego, sfornego, jakim jest dzisiejszy koń roboczy wiejski. Tak samo człowiek wprzęgał się do pracy coraz bardziej napiętej, nieświadom tego, pod działaniem wymagań rolnictwa. Rozpoczynając je jako wolny kmiotek-barbarzyńca, nie znający nad sobą żadnego przymusu z góry, usiłował różnymi fortelami ulżyć wysiłkowi. K. Bücher poświęcił ładną pracę wywodom, jak praca rytmiczna czyni wysiłek przyjemniejszym i mniej uciążliwym. Przy pracy w polu, przy podnoszeniu i dźwiganiu ciężarów, przy wiosłowaniu, w marszu itd. gromada w społeczeństwach niższych pracuje i porusza się pod wtór śpiewu, a niekiedy i muzyki, swoją miarowością przystosowany do ruchów jakich wymaga dana robota. Organizm nasz bowiem działa rytmicznie: rytmiczny jest nasz oddech, rytmicznie uderza serce i samorzutnie przy robotach pracownicy posługujący się ręcznymi narzędziami nadają rytm ruchom: służąca, gdy trzepie dywany lub sieka mięso na kotlety, brukarze, gdy brukują ulicę. Regulowanie tych ruchów piosenką i nawet muzyką nastęrczało się samo, a odwoływanie się do pracy w gromadzie wprowadzało



jeszcze nowy pierwiastek — narkotyk zbiorowości. Ale K. Bücher zwrócił uwagę tylko na rytm, tymczasem są zajęcia, które nie pozwalają na posługiwanie się wysiłkiem rytmicznym na przestrzeni całej roboty. Tu i owdzie wprowadzono inny fortel: pracę przekształcono w swego rodzaju farsę-komedję. Aktorami są pracujący i przejęci swoją rolą zapominają znowu o ciężarze wysiłku. Oto obrazek południowo-afrykański wyładowywania szyn: w Europie pracowałoby przy tym zajęciu niewielu robotników, w Afryce znajduje się około dwudziestu Kafrów. Dowcipkują nad gromadą szyn, póki dozorca nie zawoła: chłopcy, śpieszta się! Naówczas tubylcy wyciągają się w prawidłowy rząd i śpiewając podchodzą do pierwszej szyny. Na pewien dźwięk w śpiewie pochylają się i obejmują rękami szynę wciąż wśród śpiewów, poczem na nowy dźwięk dowcipkując podnoszą ją do góry. Śpiew nie ustaje: na inny jeszcze dźwięk unoszą wysoko prawą nogę, a kiedy śpiew dojdzie do nowej zwrotki, robią krok dalej i wybuchają śmiechem. Następnie wśród śpiewów i na odpowiedni dźwięk unoszą tak samo lewą nogę, śmieją się i robią krok dalej. A kiedy zanieśli już szynę na właściwe miejsce, znów śpiewają, za nim nie dojdą do odpowiedniej zwrotki, naówczas rzucają swój ciężar na ziemię wśród okrzyków, spoglądają nawzajem na siebie i wybuchają rześnistym śmiechem, po czym zwolna idą ku gromadzie szyn po nową sztukę, postępując przy każdej jak poprzednio (Dudley Kidd).

Fortele te, a przede wszystkim wysiłek systematyczny dyktowany rolnikowi przez przyrodę w pewnych porach roku, w ciągu wieków zrobiły swoje: wdrożyły człowieka do pracy, której nie towarzyszy w jaźni ludzkiej poczucie przyjemności. Innymi słowy: oddziały na jego ustrój nerwowy, zmniejszyły dawną odruchowość i powiększyły wpływ woli, nauczyły powściągać różne zachcianki, które odpychały go od ciężkiej a nieprzyjemnej pracy. Ale z tym przekształceniem się duchowości człowieka ukazują się inne ustroje pracy. Jest to rzecz znamienne, iż pomimo wysiłków ze strony osadników nie udało się zaprząć do przymusowej pracy tubylców Ameryki, o ile byli myśliwymi i początkującymi rolnikami. Jedynie zdołali to uczynić z osiadłymi ludami rolniczymi państwa Inków. I tak samo było w Afryce: ani koczujący myśliwi, ani nawet czę-

ściowo pasterze nie dostarczali towaru ludzkiego na wywóz do plantacji w Ameryce. Im bardziej lud któryś zżył się z rolnictwem, tym lepszych, tj. pracowitszych i sforniejszych wydawał niewolników. Zbyteczna nadmieniać, iż rolnicy omotani siecią powinności względem dynastów, a przede wszystkim zagarnięciem przez nich ziemi wolnej, ulegną tym snadniej ustrojom pracy przymusowej, nie tak ostro jak niewolnictwo odcinającym się od okresu wcześniejszego, a więc różnym postaciom zależności poddańczej. Zresztą zależności, wzmagającej się zwolna, w zgodzie z praktykami i zwyczajami, które na razie wyrastały na podłożu powszechnie przyjętych przez plemię założeń. Niewolnictwo, poddaństwo itd. są to formacje właściwe już okresowi cywilizacyjnemu, kiedy ustrój społeczny przybrał kształty państwowości.

Powyżej wyszczególniono główne czynniki, na niższych szczeblach kultury stające w poprzek ukazaniu się „skarbu”. Do nich dołącza swój wpływ wiele jeszcze bodźców.

A więc uroczystości plemienne, urastające w hojność i rozrzutność w miarę podnoszenia się poziomu kultury. Ulega wtedy spożyciu moc wiktuałów, niekiedy tyle, iż plemię nieraz ciężko musi odpokutowywać za swoją lekkomyślność, doświadczając niedostatku dochodzącego aż do głodu. A za osiadłego trybu życia pod względem trwonienia dóbr doczesnych o lepsze z owymi ucztami idą uroczystości rodzinne: urodziny, wesela, stypy pogrzebowe, które niekiedy są tak hojne, iż rodzina po takim obchodzie musi dorabiać się mienia jak gdyby od początku. Zwłaszcza wielkim ciężarem kładą się stypy pogrzebowe w związku z wierzeniami ówczesnymi, iż cienie spożytych rzeczy będą towarzyszyły zmarłemu na tamtym świecie. A między innymi prócz spożytych wiktuałów także zagładzie ulegają liczne przedmioty, zwłaszcza oręż. Niekiedy zwyczaj wymaga, ażeby rozdawano po zmarłym wszystko, co ten posiadał. (Bodaj z takąę rozdawnictwa, przynajmniej częściowo, wywiązał się zwyczaj Indian z nad Pacyfiku znany pod nazwą potlachu, o którym niebawem będzie mowa).

Do tego dołącza swój wpływ świadome niszczenie mienia w różnych okazjach. Niekiedy plemieniec gniewem uniesiony łamie i niszczy wszystko, co wpadnie mu pod rękę, rozwala chatę itd. i to nie tylko u siebie, ale i u sąsiadów. To znowu,

jak np. u Indian, gdy dwóch plemieńców spiera się o uprowadzonego na wyprawie łupieżczej konia lub o brankę, ktoś trzeci podchodzi i tomahawkim zabijając zwierzę lub człowieka, o którego spór się toczy, tym samym kładzie kres kłótni pomiędzy rodakami. To znów wśród Indian z nad Pacyfiku występuje podczas obchodów niszczenie przedmiotów z innej pobudki: właściciel chce wykazać, że ma twarde serce i pogardza dobrami doczesnymi. Zatapia więc łodzie, blachy miedziane rzuca do morza itd.

W końcu warto wspomnieć o tzw. grabowaniu, które występuje u niektórych ludów. Grabowanie takie, a właściwie powszechne w plemienu niszczenie przedmiotów jest jednym ze zwyczajów, które towarzyszą obchodom i żałobie po zmarłym dynastie — jak gdyby zawieszono zostały wtedy wszystkie przykazania normalnego życia społecznego. Np. w Nowej Zelandii mężczyźni biegali całkowicie nazy, udawali obłęd i niszczyli cokolwiek stanęło im na drodze, a węg podpalali domy, grabili cudze mienie, nawet mordowali, puszczając wodze wszystkim niechęciom i wszystkim podmuchom chciwości. Na Madagaskarze w okresie żałoby po dynastie, przez pewien czas nie ma właścicieli gruntów ani świń i zanika wyłączne prawo mężczyzn do swoich żon.

Słowem, „skarb“ zwolna toruje sobie drogę w życiu plemiennym. Czy z pobudek roszczeń wspólniczych lub niskiej wydajności pracy, czy braku chęci do pracy po zaspokojeniu potrzeb codziennych, czy w końcu z powodu różnych obchodów i uroczystości lub działania ambicji nakazującej pogardę dla mienia ruchomego, plemieniec nie ma możliwości dojścia do zasobu dóbr ponad potrzeby swoje bezpośrednie. O trudności posiadania takiego zasobu świadczy obrazek następujący: Jeden z seniorów zwiedzanej przez Galtona części Afryki stał się posiadaczem aż sześciu zniszczonych fraków europejskich. Pomimo całego skwaru paradował zawsze we wszystkich sześciu, świadom, że, gdyby używał tylko jednego, pierwszy lepszy z jego sąsiadów, nie pytając się o pozwolenie, podzieliłby się w jego nieobecności tym jego majątkiem. Celem zabezpieczenia swego skarbu senior odwołał się do fortelu będącego w zgodzie z wymaganiami zwyczaju — używał wszystkich jednocześnie! Nie wiemy, o ile należy poważnie traktować tę opo-

wieść, lecz duchem swoim odpowiada rzeczywistości ówczesnej. Skarb dla swego uprawomocnienia korzysta z drogi okólnej. Ukazuje się nie jako jawne, powszechne urządzenie, lecz tworzy się, użytkując z niedopatrzeń zwyczaju, a właściwie z zasady, iż rzeczy potrzebne posiadaczowi, choćby w największej ilości, są wyjęte z pod łaknień wspólniczych. Otóż istnieje jeden rodzaj skarbu, który w okresach pierwotnych może pęcznieć, bez miary, lecz zawsze będzie tolerowany jako ściśniona osobista: są to ozdoby. Bodaj nikt nie miał ich nigdy za wiele. Tak było w przeszłości dalekiej; czy weźmiemy Indian kolumbijskich, gdzie kobieta nosi naszyjniki z przewierconych zębów jelenich w liczbie 2.000 sztuk, w wiosce zaś znajdować się może około 20.000 takich paciorków, lub gdzie dziewczyna ma całą krawędź uszu w otworach, a z każdego otworu zwiesza się sznur muszel aż do samej ziemi i, ażeby ten ciężar nie przerwał krawędzi ucha, nosi dokoła głowy poniżej uszu przepaskę, która zapobiega tej katastrofie; czy zwrócimy się ku Murzynom z porzeczka Konga, gdzie kobiety noszą na nogach poniżej kolan zwoje mosiężne, ważące po trzysta kilogramów na każdej nodze, przy czym nie zdolne są ich zdjąć bez pomocy kowala, a dokoła szyi tak samo niezdejmowany naszyjnik ważący 10—15 kilogramów — wszędzie, na różnych szczeblach niższej kultury, żądza ozdób u obu płci nie zna ograniczeń. Powstaje skarb przechodzący z ojca na synów lub od seniora rodowego do jego następcy, słowem nagromadzenie przedmiotów zmieniające posiadacza w drodze spadku. Jest to na razie skarb jałowy, który jednak w odpowiedniej fazie kultury przybierze charakter czynny, wsiąkając w rozszerzający się obieg wymienny towarów. A wsiąknie jako towar wyjątkowego znaczenia, jako miernik wartości, narzędzie obiegu, środek gromadzenia dalszych skarbów. Będzie spełniał rolę płacideł ówczesnych, aż póki nie da początku bardziej doskonałej ich formacji, mianowicie pieniądзом.

2. Sposoby podziału produktów na wczesnych szczeblach kultury. Rola upominków. W społeczności plemiennej, zwłaszcza jeśli zwyczaje wspólnicze są dość silne, „skarb” zaś ogranicza się wyłącznie do ozdób, wymiana produktów w postaci kupna-sprzedaży nie istnieje. Ażeby kupno-sprzedaż usadowiły się w niej, prócz

ukazania się skarbu trzeba jeszcze obecności czynników, które tkwią poza obrębem społeczności.

Jednak podział produktów i w takiej społeczności jest, przynajmniej od czasu do czasu, koniecznością. Odbywa się to w sposób różnorodny.

O jednym z nich, a mianowicie o gościnności i jej charakterze, już była mowa. Ale istnieje mnóstwo innych dróg podziału, które nie zawsze dadzą się powiązać z duchem wspólnoty — przynajmniej w sposób bezpośredni, niewątpliwy. Oto u Buriatów świadek, który widział jak ktoś postrzelił śmiertelnie sobola lub lisa, dostaje z tej zwierzyny dwie przednie łapy, z odyńca zaś lub kozicy — pewną ilość mięsiva. W puszczy brazylijskiej takie roszczenie znajduje ciekawe uzasadnienie: upominek należy się świadkowi za pracę jego oczu. W obu wypadkach jest to swego rodzaju podział produktu społecznego: jedni z badaczy widzą w tym objawy szczątkowe wspólnoty, inni — upominek, za który należy się, w sposób domniemany, ofiarodawcy jakaś wzajemność w przyszłości. Sytuacja jest wyraźniejsza, gdy chodzi o australijski zwyczaj juczynostwa; między innymi malec zawiesza ojcu sznur na szyi, zobowiązując go tym do zrobienia mu np. bumeranga, w zamian za to czuje się zobowiązany upolowaną drobną zwierzynę przynosić ojcu. Jest to już wyraźna wymiana usług, która służy podziałowi produktów, lecz bardzo daleka duchem swoim od kupna-sprzedazy. Otóż na niższych szczeblach wewnątrz plemienia powstaje cała moc takich wzajemności: ogół plemięńców wykazuje swoje poważanie dla wodza, oddając mu część łupu myśliwskiego i niekiedy wojennego — są to początkowe daniny, za które wódz ze swej strony świadczy różne usługi i pomoce. Członkowie rodziny, gdy któryś powróci z pomyślnego polowania, ofiarują innym każdorazowo część określoną i zawsze tę samą upolowanej zwierzyny. Są to znowu świadczenia, w których granica pomiędzy upominkiem bez zwrotu a objawem jedynie życzliwości i zarazem wspólnoty ulega całkowicie zatarciu. Zdarza się, że opinia plemienna potępia domaganie się wzajemności, a jednak nie toleruje jej nieokazywania. A więc Denowie atapascy w stosunku wzajemnym nie są tak ordynarni, ażeby sobie nawzajem cokolwiek sprzedawać. Po prostu dają rzecz żadaną... „Lecz zawsze będą oczekiwali, iż powrócicie w do-

brach jej równoważnik". Kto zapomniał o tem obowiązku, przypomną mu za pośrednictwem trzeciej osoby. Ale „wierzyciel” nigdy osobiście nie zwróci się do „dłużnika” w tej sprawie — jak gdyby upominanie uważał za postępek niehonorowy... Nowogwinejczyk w potrzebie udaje się do któregoś ze swoich sąsiadów o wieprzaka, którego otrzymuje, ale po pewnym czasie, nawet dość długim, ofiarodawca wystąpi z taką samą prośbą do tego, którego kiedyś obdarował. Jeżeli oba terminy, otrzymania czegoś i odwzajemnienia się, są dość odległe od siebie, te świadczenia dla dorywczego spostrzegacza nie ujawniają tkwiącej w nich obowiązkowej odpłaty. Ostatecznie, pomiędzy wspólniczym korzystaniem z produktów cudzej pracy a obowiązkowym odwzajemnianiem się niekiedy trudno przeprowadzić granicę. Upominki te nieraz przybierają poważne rozmiary w okresie rolniczym, kiedy przez ożenek dwa rody wchodzą ze sobą w stosunek bliższy. Ród pana młodego niesie sowite upominki rodowi panny młodej i nawzajem bywa przezeń obdarowywany.

Upominki występują jako zwiastuny przyszłej wymiany towarowej, a właściwie odgrywają w społeczeństwach niższego szczebla to zadanie, jakie spełnia kupno-sprzedż na wyższych szczeblach rozwoju gospodarczego.

Rozwój upominków potoczył się dwoma łóżyskami: jednym, kiedy darczyńcy byli członkami tego samego obozu lub plemienia, drugim, kiedy to obdarowywanie odbywało się pomiędzy przedstawicielami różnych plemion.

W życiu wewnętrznym plemienia w drodze upominków ktoś pokrywał na razie niedobory w swoim gospodarstwie, rozdawnictwo zaś masowe uroczystościom rodzinnym nadawało wyróżniający je charakter. Zwyczaj sam w różnych okazjach przybrał postać zeszywniałą, wysunął sprawę obowiązkowych odwzajemnień, wprawdzie niekiedy po wielu latach i stanął na straży, ażeby odwzajemnianie odpowiadało „godnie” otrzymanym darom. Zresztą istnieje pod tym względem niewątpliwie duża różnorodność. Gdy chodzi o upominki w codziennym toku życia, od jednej osoby do drugiej, często jest obecny w tym czynie ów rozmach szczodrości spieszącej z upominkiem bez jakiegokolwiek wyrachowania, lecz gnieździ się często również wyrachowanie, opinia zaś publiczna bierze pod swoją

opiekę zasadę, iż za upominek należy odwzajemnić się upominkiem. Chodziłoby o uchwycenie tego, kiedy taka wzajemność staje się obowiązująca, oraz czy jest taką wtedy powszechnie, czy tylko w pewnych okazjach. Odpowiedzieć na te pytania jest niepodobieństwem nie tylko dlatego, że szwankują po temu materiały, ale i z tej przyczyny, iż sytuacja jest niezmiernie złożona. Co społeczność plemienna, to inne są wymagania zwyczaju. Niekiedy na podłożu zasadniczym ukazują się odchylenia oryginalne. Oto Kamczadalowie: jeżeli któryś z nich potrzebuje jakiejś rzeczy, udaje się do rodaka, który ją posiada, chociaż by go nie znał. Przybywszy, powiada, że zjawił się w charakterze gościa. Gospodarz zaprasza go do jurty, którą nagrzewa do możliwie najwyższej temperatury, i stawia przed gościem tyle jadła, iż starczyłoby dla dziesięciu. W jurcie są tylko gość i gospodarz. Gospodarz leje wodę na rozpalone kamienie, aby podnieść gorąco aż nie do wytrzymania, częstuje gościa, usiłując go doprowadzić tymi poczęstunkami i gorącem, ażeby poprosił o zwolnienie od dalszego jadła i gorąca, lecz sam w każdej chwili może wyjść na wolne powietrze i w samej jurcie ograniczyć swoje jedzenie. Gość, kiedy już dalej nie zdolen jest wytrzymać, musi się wykupić od gospodarza. Oddaje mu więc swoje psy, ubiór, w ogóle wszystko cokolwiek ten zażąda. W zamian dobrej odzieży dostaje lichą, zamiast silnych psów wychudłe. Tym wykupem odzyskuje wolność. Takie obdarzenie gościa nie uchodzi za krzywdę, lecz jest dowodem przyjaźni, o ile obie strony wywiązują się uczciwie ze swoich zobowiązań. Albowiem gospodarz winien oddać wizytę ograbionemu gościowi, który jadłem i gorącem będzie go ze swej strony pokonywał i zabierze odeń tytułem wykupu to, czego potrzebuje, a co będzie równoznacznikiem oddanych poprzednio rzeczy. Opisane zwyczaje Kamczadalów (St. Kraszenikow) są jak gdyby nierozwiniętym a początkowym ogniwem tłustych uczt właściwych Kwakiutlom z wybrzeża amerykańskiego. Te ucztę są jedną z odmian potlaczu, tj. uroczystości polegającej na rozdawnictwie przez kogoś niekiedy całego swego majątku ruchomego w ufności, że każdy obdarowany urządzi ze swej strony takie samo rozdawnictwo i odwzajemni się swoim darczyńcom. Na razie nie chodzi nam o pierwotniejsze formy lub odmiany (jak tłuste ucztę) tego zwyczaju,

który począł się ongi bez żadnych zamiarów wyzysku, lecz obecnie stał się urządzeniem rujnującym plemiona pomorza, przy tym odmiennym w swoim ukształtowaniu w każdym ple- mieniu. Zasady przywodzące potłaczowi i cermonie, które mu towarzyszą, są bardzo złożone. Sami tubylcy nie umieją wyjaśnić niektórych stron uroczystości — okoliczność, która otwiera pole wielu podejściom i wyzyskowi. W niektórych ra- zach osobie, która ją urządza, chodzi o „przyplaszczenie” prze- ciwnika, o pohańbienie okazaną przez siebie szczodrością, w innych — o puszczenie w ruch swego majątku. Istotą jego jest przyjęcie upominku przez innych, a wraz z tem obowiązku odwzajemnienia się w przyszłości, ale większą liczbą przed- miotów. W niektórych razach odwzajemnienie powinno dwa lub trzy razy przewyższać wartość otrzymanych upominków. Wśród tych upominków zwłaszcza zasługuje na wyróżnienie miedz, tj. blachy samorodnej miedzi, słynące każda pod własną nazwą. Jej posiadanie jest celem ambicji Indianina, nie w imię jej użytkowej wartości, ale jako rzeczy, otaczającej osobę szczególną aureolą i poważaniem. Za pośrednictwem potłacza okazy miedzi przechodzą z ręki do ręki, a ponieważ liczba ich jest ograniczona, muszą przynajmniej niektóre wracać do daw- nych posiadaczy, chyba że, ażeby dowieść „twardego serca”, rzuci jakąś sztukę do morza: „opowiem wam jak mój klan jest silny: oto miedz Maxtsolemtsewub (warta 4.000 koców weł- nianych) leży martwa w wodzie, oto...” itd. (tu idą nazwy kilku innych sztuk miedzi zatopionych). W ogóle w potłaczu wyzy- skano umiejętnie namiętności i ambicje ludzkie. Skutki tej uro- czystości są tym zgubniejsze, iż żaden z plemieńców, zarówno mężczyzna jak i kobieta, nie mogą wyzwolić się spod wpływów opinii publicznej, która domaga się tego rodzaju obchodów. Zony okradają mężów, aby pomóc bratu, albo innemu kre- wnemu w gromadzeniu przedmiotów. Za sprawą tego zwyczaju wszyscy są w nędzy i zarazem wszyscy oszczędzają. Są to wybujałości zwyczaju, który początkowo wychodził z innych założeń i posiadał zgoła inne oblicze. A zatem już bardzo wcześniej instytucja upominków, która poczęła się w imię życ- liwości, przekształca się w swoje przeciwieństwo! (Tak samo ukształtowanie się sprawy upominkowej w Afryce w stosun- kach pomiędzy Murzynami a białymi podróżnikami stało się



środkiem wyuzdanego wyzysku przybyszów. Należy zwrócić uwagę na tę okoliczność: oto zwyczaj, który kiedyś począł się z chęci okazania komuś życzliwości, z biegiem czasu poprzez kolejne ogniwa stał się źródłem krzywd i wyzysku. Upominek otrzymany przez białego w Afryce, nieobeznanego ze stosunkami miejscowym, jest dla niego nieraz przekleństwem).

Przechodzimy do drugiego przypadku — do upominków pomiędzy różnymi plemionami. W Ameryce północnej dwa plemiona indyjskie, gdy zawierały między sobą pokój, uroczyście grzebały w ziemi topór na czerwono pomalowany, a wzajemna wymiana ozdób noszonych na szyi przypieczętowała umowę.

W końcu wodzowie obu stron czynili sobie nawzajem upominki z rzadkich przedmiotów. Wśród tych upominków wyróżniały się zwłaszcza wampumy, tj. pasy przetykane muszlami. Z nich składał się skarb publiczny plemienny, jako z przedmiotów wysokiej godności (świadomie unikamy terminu: wartość). Zwyczaj wymagał, ażeby za wampum odwzajemniano się wampumem tej samej godności — wszelka umowa (w tej liczbie zawarcie pokoju) była nieważna bez wymiany tych pasów. Pasy zostałyby niebawem wyczerpane, gdyby nie znajdowały się w ciągłym obiegu. Europejczycy nieświadomi zwyczaju stawiali Indian często w trudnym położeniu, zatrzymując je u siebie. W ogóle upominki ze strony cudzoziemców były wstępną czynnością do nawiązania dobrych stosunków. Kiedy Nicollet około 1612 r. szedł do Huronów zawierać przymierze, po przybyciu umocował w ziemi dwa pręty i na nich powiesił dary na dowód, że przybywa jako przyjaciel. (Nawet, jeśli ktoś zawiadamiał kogoś o czymś, wysyłał upominek jako rękojmię, że mówi prawdę i dlatego misjonarze jezuitcy w Kanadzie obdarowywali Indian na dowód, iż nauki religijne głoszone przez nich są prawdziwe, była to jakby rękojmią rzetelności). Z tej wymiany upominków od osoby do osoby wywiązywały się stosunki wymienne na skalę rozleglejszą: ludy stepowe w Ameryce odbywały zbory w określonych odstępach czasu celem wymiany. Strony nie targowały się z sobą, ani nie dyskutowały o cenie jakości przedmiotów. Plemię, przybywszy celem wymiany do wioski drugiego plemienia, rozkładało się obozem w pobliżu. Po wymianie grzeczności jedna strona robiła ryczałtowy upominek drugiej ze wszystkich przedmiotów, które zdo-

łała zaoszczędzić, a po krótkim czasie ta odwzajemniała się tamtej podobnym ryczałtowym upominkiem. Niekiedy wymiana upominków od osoby do osoby toczy się wciąż tym samym łożyskiem, zeszywniałym w swojej obrzędowości. Takim jest zwyczaj kula, istniejący na bardzo rozległej przestrzeni w obrębie drobnych archipelagów, przeważnie na północno-wschód od Nowej Gwinei (B. Malinowski). W jednym kierunku posuwają się tam, z ręki do ręki partnerów, naszyjniki z nanizanych na sznur krążków wyrabianych z czerwonych muszli, w drugim, odwrotnym, bransolety robione z gatunku białej muszli. Powstaje olbrzymia więź stosunku wzajemnego, gdzie partnerzy otrzymujący naszyjniki jeden od drugiego i puszczający je dalej, oraz w odwrotnym kierunku robiący to z bransoletami są niekiedy oddzieleni nawzajem setką mil morskich, lecz powiązani z sobą dożywotnim stosunkiem takiego obdarowywania się. Naszyjnik przebywa w czyimś ręku przez pewien czas (od kilku dni do roku i dwóch), zanim oddany będzie innej osobie, tworzącej następne ogniwo łańcucha partnerów, po którym porusza się ta ozdoba, zwykle mająca własne imię. W zamian naszyjników ktoś po pewnym czasie, krótszym lub dłuższym, doręcza swemu ofiarodawcy bransoletę, która od niego posuwa się do jego partnera wcześniejszego w obiegu naszyjników itd. I jak przy wampumach bransolety otrzymywane w zamian naszyjników winny być tej samej godności. Jest to schemat zasadniczy, o który opierają się rozmaitego rodzaju szczegóły, oraz upominki z innych przedmiotów, w razie jeśli termin doręczania bransolety w zamian naszyjnika jest zbyt długi, a także liczne ceremonie, z konieczności zbiorowe i wymiana przedmiotów pospolitych mająca własne swoje drogi.

To obdarzanie siebie upominkami ze strony przedstawicieli różnych plemion odgrywa obecnie i odgrywało w przeszłości rolę czynnika, który umożliwiał rozchodzenie się produktów jednej okolicy do okolic niekiedy bardzo dalekich. K. Bücher zwrócił uwagę na tę stronę, wykazując na podstawie źródeł greckich, jak w ten sposób produkty wędrowały z miejsca na miejsce. Przypuszcza, że przedmioty, wydobywane przez archeologów w okolicy dalekiej od ich praojczyzny, odbywały te dalekie podróże w charakterze upominków od plemienia do plemienia.

Wraz z zagnieżdżaniem się wzajemności upominków ukazuje się w życiu społecznym ocena ich równoznaczności. Nie chodzi tam o jakąś wartość (wymienną) właściwą dzisiejszemu obrotowi towarowemu, zwłaszcza w stosunku do rzadkich upominków o nazwie imiennej, istniejących w jednym okazie. W odwzajemnianiu się zależy raczej na tym, żeby świadczono sobie, jak brzmi wyrażenie wśród naszej drobnej szlachty, należyta godność. W takim wartościowaniu zawiera się niekiedy pierwiastek sytuacji jaką zajmują kontrahenci, a więc ich status personae — zdarza się, iż wyższy godnością winien o wiele więcej ofiarować w zamian za otrzymany upominek od osoby niższej kondycji niż to obowiązuje plemięńca tej samej sytuacji co ofiarodawca. Bywa i odwrotnie. Ale jest to tylko jeden z pierwiastków rozstrzygających o godności upominków. Albowiem nadto zabiera głos dobroć upominków, aureola tradycji otaczającej te spośród darów, które — jak miedź u Kwakiutłów, jak naszyjniki i bransoletki w obiegu kula — mają nieraz dużą przeszłość za sobą.

3. „Niemy“ handel i inne formy wymiany. A. Humboldt opowiada o sposobie prowadzenia wymiany pomiędzy Hiszpanami, którzy siedzieli przeważnie w postaci załóg wojskowych (presidios) tu i owdzie w Nowym Meksyku i Texasie, a plemionami indyjskimi. Zasadą była tam rozprawa orężna. Jednak obie strony nawiązały z sobą stosunki handlowe. Indianie wnosili wśród szlaku najbardziej uczęszczanego niewielkie krzyże, a na nich zawieszali w torbach skórzanych nieco jeleniny, u stóp zaś rozkładali skórę bawołą; w ten sposób zawiadamiali, iż w zamian za pozostawioną skórę bawołą pragnęliby otrzymać od chrześcijan solone mięso — żołnierze zabierali skórę i zostawiali owo mięsiwo. Jak zaznacza A. Humboldt, ustrój taki wymienny był wyrazem dobrej wiary i zarazem nieufności wzajemnej. A. Bastian wyniósł podobne doświadczenia z pobytu swego w Andach: Indianie w nocy podkradali się pod obóz białych i kładli tam świeże owoce, przybysze podejmowali je rankiem, a wieczorem ze swoich zasobów pozostawiali należyty odpowiednik. Obie strony, nie widząc siebie, a podejrzewając o wrogie zamiary, prowadziły jednak wymianę. O takiej wymianie w Guatemali, na New-Foundlandzie i wyspach w pobliżu Alaski, w dorzeczu Amazonki istnieją

wzmianki liczniejsze. Te fakty są tym ciekawe, że wiążą się ze starodawną formacją wymienną, znaną pod nazwą „der stumme Handel“, „the silent trade“. Po polsku więc „handel niemy“ — nazwa niewłaściwa, bo po pierwsze: zasadniczym rysem takiej wymiany jest nieobecność stron wymieniających, które o sobie nic nawzajem nie wiedzą, jak Chińczycy o Weddach, jak Arabowie o ludach fińskich, i traktują te nieznanie sobie ludy nieraz jako duchy leśne; powtórę, istnieje rzeczywiście w całym znaczeniu tego słowa niema wymiana, gdzie obie strony są obecne, ale porozumiewają się nie głosem, jeno gestami.

O niemej wymianie w rozszerzonym znaczeniu tego terminu są wzmianki u pisarzy chińskich w stosunku do Cejlonu i wysp Zundzkich; u pisarzy arabskich o ludach fińskich w dzielnicy Biełozierskiej, oraz na sławnym Łukomorzu, gdzieś na północ od Obi, o Laponczykach; u pisarzy starożytnych i arabskich — o dzielnicach nad zatoką Gwinejską i na pograniczu Egiptu i Etiopii, w końcu fakty współczesne dotyczące handlu Murzynów z Pigmejami, oraz Malajów z puszczakami na półwyspie Mallaki. Warto przytoczyć, co o tym handlu opowiada Herodot: Kartagińczycy mieli prowadzić handel poza słupami herkulesowymi. Przybywszy na miejsce, wyładowywali towary na wybrzeże, kładąc je w ustalonym porządku, a wróciwszy na okręty słupem dymu podawali wiadomość o sobie. Tubylcy, ujrawszy ów dym, udawali się na wybrzeże i tam kładli tyle złota, ile sądzili, że odpowiada wartości wyłożonych towarów, po czym odchodziłi. Kartagińczycy przybywali ponownie i, o ile byli zadowoleni z ilości zaofiarowanego złota, zabierali je i odjeżdżali, pozostawiając swoje towary. Gdy zaś zapłata nie odpowiadała ich obliczeniom, wracali na okręty i czekali cierpliwie, ażeby tubylcy dołożyli złota. To trwało dopóki obie strony nie były zadowolone z osiągniętych wyników, a „żadna z nich nie postępowała z drugą w sposób niepiękny“.

Niewątpliwie większa znajomość materiałów chińskich podniosłaby liczbę takich wymian, a dokładna znajomość przeszłości, dzisiaj dla nas straconej bezpowrotnie, na pewno powiększyłaby ją jeszcze bardziej, ale wolno powątpiewać, ażeby większa wiązanka faktów zdołała udowodnić, iż była to formacja powszechna a początkowa handlu. Już w okresie wczes-

nym oglądamy wymianę wolną od tych akcesoriów nieobecności. Np. w obrębie Arizony i N. Meksyku odbywały się zbory wymienne pomiędzy nieprzejednanymi wrogami, a więc koczownikami Apachami a rolnikami z pueblów. Apachowie zawiadamiali o swoim przybyciu wiciami ognistymi, a właściwie dymem z nich się unoszącym, Indianie-rolnicy nie pozwalali im podchodzić ku osiedlom, ażeby ci nie wykorzystali tych chwilowych wywiadów dla zbrojnego napadu w niedalekiej przyszłości. To znów w Guyanie plemiona sąsiadujące wyspecjalizowały się w wyrobie pewnych produktów dzięki surowcom dostarczonym przez ich dzielnicę: jedno tresowało psy, inne lepilo zręczne garnki, inne jeszcze wyrabiały czółna, fajki, truciznę do strzał, hamaki itd. Jakkolwiek w stosunkach wzajemnych panowała wrogość pomiędzy nimi, wymiana jednak istniała. Im Thurn opowiada, jak do plemienia, w którym przebywał, przybyli wrogowie celem wymiany fajek i bawełny. Kobiety i dzieci zostały zgarnięte przez mężów i ojców do wielkiej chaty, mężczyźni prowadzili wymianę. A po odejściu Arekunów wszystko to wyległo na plac wioskowy, wymyślało, przedrzeźniało wrogów i im wygrażało. Wrogość chwilowo powściągnięto dla dokonania wymiany! I w końcu obrazek z wieku XIX: Hiszpanie posiadali na wybrzeżu marokańskim kilka tzw. *presidios*, miejsc obwarowanych, w tej liczbie Ceutę. Poza murami przebywały plemiona berberskie znane ze swojej nienawiści względem chrześcijan, podówczas słynne z korsarstwa, rozbojów lądowych. Pomimo wrogości z biegiem czasu poczęły się między Hiszpanami i Ryfeńczykami stosunki wymienne. Ci przychodzili codziennie pod mury Ceuty z wiktuałami na sprzedaż, tamci wychodzili do nich. Aż do wyznaczonej godziny odbywał się targ prawidłowy! Obie strony traktowały siebie po przyjacielsku, jak czynią ludzie, którzy często się widują. Ale gdy dzwon obwieścił koniec targu, rzecz przybierała inny charakter. Hiszpanie spiesznie powracali do warowni i zaryglowywali wrota. Ryfeńczycy pakowali swoje towary, brali broń do ręki i spoglądali czy gdziekolwiek nie ukaże się zza muru głowa Hiszpana. Jeżeli pojawiła się, witali ją kulami, a Hiszpan, z którym przed kilku jeszcze minutami prowadzili przyjacielską wymianę, służył dla młodzieży jako cel strzałów (R. André).

Przykłady te bynajmniej nie mają służyć dla ostatecznego udowodnienia jakiegokolwiek tezy, ale przytoczono je tytułem ilustracji, iż wymiana pierwotna w zasadzie poczęła się pomiędzy plemionami nawzajem wrogimi, niekiedy nawet pomiędzy nieprzejezdanymi wrogami. A nawet tu i owdzie mogła ukazać się w przerwie toczącej się bitwy. Przeciwnicy ujrzeni u siebie nawzajem przedmioty zgoła inne od swoich, a zmęczeni parogodzinny bojem, podczas odpoczynku za pośrednictwem kobiet, dochodzili do wymiany. W każdym razie wymiana była wymianą pomiędzy wrogami: odbywała się w chwilowym zawieszeniu czynów orężnych. Ale względem obcoplemieńców, z którymi wymienia się dzisiaj uderzenia maczugi, jutro zaś przedmioty, nie obowiązują zasady solidarności, będące najważniejszym przykazaniem w życiu wewnętrznym plemienia. Etyka handlu pod względem rodowodów swoich jest złagodzoną etyką spotkania orężnego. W boju wszelkie środki są dobre byleby pognębić wroga. Zasady podejścia wojennego przejmuje handel — oszustwo i kłamstwo są nieodłącznymi jego towarzyszami. Nie jest to właściwość jakiejś rasy, ale rzecz ogólnoludzka, powtarzającą się wszędzie, gdzie handel zagnieżdżył się był na dobre. Handel nie zna ojca, nie chce wiedzieć o matce — tak brzmią przysłowia już na niższych szczeblach kultury. Nie nadaremnie podnieśli rokosz handlarze hinduscy w Ulwarze w odpowiedzi na rozporządzenie władz angielskich, które, chcąc zapewnić chłód i cień przekupniom, postanowiły zasadzić święte drzewa na miejscu targów. Pod świętymi drzewami nie wolno kłamać — oto powód rokoszu.

4. Rozwój w zależności od topograficznego ukształtowania dzielnicy. Powstanie handlu i jego rozwój zależą w dużej mierze od topograficznego ukształtowania dzielnicy. W dorzeczu wielkich rzek ukazały się pierwsze cywilizacje rolnicze, spięte irygacjami jako kłamrą. Pod ich bokiem, na wybrzeżu w obrębie wód śródziemnych, sadowią się ruchliwe cywilizacje miejskie, zawdzięczające swoją zamożność handlowi. Tak było w obrębie morza Śródziemnego w Europie, to powtórzyło się na wodach chińsko-japońskich. Sprzyjało temu z jednej strony urozmaicone a porznięte wybrzeże z mnóstwem wysepek, wyróżniające się różnaitością produktów i zachęcające ludność, przyzwyczajoną do czółen, do wypraw han-

dłowych. Ażeby odtworzyć pierwsze ogniwa handlu tamtejszego, warto zwrócić się ku okolicom zaludnionym jeszcze obecnie przez ludy niższej kultury, lecz wepchnięte w wir obrotu handlowego ukształtowaniem swojej dzielnicy. Taką okolicą była zatoka Meksykańska, o której O. Peschel powiada, iż, gdyby biali przybyli o kilkaset lat później, zastaliby tam ruchliwą kulturę wymienną. Również wybrzeże Pacyfiku od rz. Kolumbii w Stanach Zjednoczonych ku północy do Alaski, pomimo surowego klimatu sprzyjało powstaniu stosunków handlowych. Ale przede wszystkim na pierwszym miejscu należy postawić świat wyspiarski Nowej Gwinei z Melanezją i pobliskimi archipelagami Polinezji, tę ojczyznę, jak wyraził się B. Malinowski, Argonautów wschodu. Przeważają tutaj względnie małe wysepki, niewiele jest większych i wielkich, a właściwie jedyną istotnie wielką wyspą jest Nowa Gwinea. Jedne wysepki są pochodzenia koralowego, inne to szczątki lądu, który zanurzył się w wodach, wszystko to o rozmaitej glebie i rzeźbie topograficznej i niejednakowych pod względem obfitości i napięcia źródłach utrzymania. Rozwinęły się tutaj ruchliwe wyprawy handlowe, które na wątlých z naszego punktu widzenia łodziach wiozą 50.000 garnków, a przywożą z powrotem sago w ilości 50 ton — i to na odległości setki i nawet paruset kilometrów. Nie miejsce tutaj wchodzić w rozbiór tego handlu, jego dróg i produktów, co najwyżej warto zaznaczyć, że tutejsze płacidła z muszli robione, tzw. dewarra, posiadają dzisiaj obszerną literaturę. Natomiast rozwój handlu na jednolitych przestrzeniach obszernych lądów, i to wśród ludów mających wyższą pod względem liczby posiadanych przedmiotów kulturę materialną, pozostał na poziomie nieraz mało rozwiniętym. Brakło tam pobudki w postaci obfitego istnienia na niewielkiej względnie przestrzeni urozmaiconych produktów.

Z ukazaniem się handlu przedmioty dotychczas mające dla wytwórców jedynie wartość użytkową stają się towarami, tj. produktami wytwarzanymi w celu sprzedaży. Nabywają nowej wartości — wymiennej, upostaciowanej w ilości przedmiotów, którą otrzymuje się za dany produkt, czyli w tzw. cenie. Ta wartość wymienna jest w gruncie rzeczy inną kategorią niż „godność” zawarta w upominkach wzajemnych. I znowu nie-

podobna tutaj wdawać się w drobiazgowy rozbiór zasad ówczesnej wartości wymiennej. Wystarczy nieco uwag. Otóż niekiedy daje się tam wyczuwać przy określeniu wartości branie pod uwagę wysiłku zużytego na wyrób produktu, ale jeszcze częściej stosowane są zgoła inne kryteria. Na N. Brytanii w roli płacideł krążyły muszle obrobione w postaci krążków i naniżane na sznur — za rybę płacono takiej długości sznur jak długą była ryba. Jakuci za kotły miedziane dawali tyle skórek sobolich, ile mieściło się w kotle. Ale na dobrą sprawę niewiele da się powiedzieć o zasadach, według których u ludów niższej kultury kształtuje się wartość wymienna. Posiadane przez nas fakty dotyczą handlu białych z tubylcami. W pierwszej chwili tubylcy chciwiej rzucali się na świecidełka, paciorki itd. niż na noże, siekiery. Z natury swojej mocno odruchowi, gotowi byli oddać przedmioty, które pochłonęły były wielką ilość wysiłku z ich strony za jakiś małowartościowy produkt europejski, np. za lusterko jarmarczne. Pierwiastki natury subiektywnej, duże wahania w popycie i w podaży, wszystko to mąciło stateczność stosunków, i co za tym idzie cen. Jednak z chwilą, gdy stosunki handlowe weszły w tory systematyczne, ceny ustalały się i, co więcej, kształtowały się dość równolegle do wartości jaką przywożone przedmioty posiadały w Europie. Z natury rzeczy braknie faktów, zwłaszcza dobrze zaobserwowanych, a dotyczących wymiany produktów przez przedstawicieli o niższej kulturze w stosunku między sobą.

5. „Pokój targowy”. Jarmarki i targi jako pierwsza faza handlu. Handel w okresie początkowym, z natury międzyplemienny, odbywa się jedynie w określonych porach roku i w miejscach, które żywiłowo wysunęły się jako widownie zetknięcia się kontrahentów, a więc zwykle na pograniczu, na pasie neutralnym, o ile istnieje. Stamtąd dopiero wżera się w życie wewnętrzne plemion, przy czym kupcami będą obcoplemieńcy. Handel w miarę jak zakorzenia się w plemieniu, zaczyna przeciwstawiać swoją etykę dawnej etyce salidarności plemiennej. Te zbory są właściwie pierwszym ogniwem przyszłych jarmarków, tej pierwszej fazy handlu usystematyzowanego. Dopiero później obok tych zborów rzadszych, lecz rozleglejszego zasięgu, ukazują się mniejsze, zwiastuny naszych targów. Oto dla przykładu jedna z dzielnic Afryki wschod.



niej: pomiędzy obszarem stepowym zaludnionym przez lud pasterski Masajów a dzielnicą rolniczą Wadżagów na pograniczu istnieją stałe miejsca wymiany: Masajowie dostarczają produktów hodowli, takich jak bydło, kozy, mleko i otrzymują w zamian zboże, banany. Kobiety, jedyne dostarczycielki-sprzedawczynie produktów na targu są pod opieką „pokoju targowego” i nie napastowane przechodzą przez okolice wrogie. Nadto odbywają się tutaj w pewnych porach roku wielkie targi, a właściwie jarmarki, na które przybywali kupcy arabscy z Zanzibaru z produktami wyższej kultury w zamian za niewolników, kość słoniową itd.

Takie miejsca wymiany leżące na pograniczu lub w pustkowiu jednoczyły w swoim obrębie ludzi sobie obcych pochodzeniem plemiennym, niekiedy wrogów zapamiętałych. W tych warunkach lada nieporozumienie mogło prowadzić do sporu, spór zaś zaognić się do walki orężnej. Lecz już bardzo wcześnie uczestnicy uświadamiają sobie ujemne skutki takich wybuchów namiętności na wymianę nie tylko w chwili obecnej i na danym rynku, ale i na dalszą przyszłość. To poczucie doprowadza do otoczenia miejsca targów zakazami i czcią przesadną co w swojej całości odpowiada średniowiecznemu *pax dei*<sup>1)</sup>. Nawet ścieżki, które prowadzą na targ, są pod taką ochroną — są to ścieżki pokoju, ścieżki boskie, a tym bardziej samo targowisko. Oto Batacy, szczep bitny barbarzyński na w. Borneo: plemieniec na miejsce wymiany bierze z sobą muszkiet, zatyka w lufę gałązkę zieloną jako oznakę zamiarów pokojowych, a kiedy przybędzie na miejsce, na znak dany przez kierownika targów wraz z innymi wystrzela naboje w specjalnie usypany pagórek (przed odejściem swoim odszukują zwykle wystrzelone kule). W obrębie porzecza dolnego Kongo ustalona zasada głosi, że na targach nikt pod jakimkolwiek pretekstem nie odwoła się do przemocy, ani dokona napaści lub kradzieży dóbr i nie uprowadzi nikogo. Nie pozwalano mieć na nich oręża — naruszenie tych zakazów sprowadzało na winowajcę zemstę całej okolicy,

<sup>1)</sup> Już u stepowców Ameryki północnej takie miejsca jak kamieniołomy, a w Australii zaś części kniei, w których rośnie drzewo dostarczające orzechów pewnego rodzaju, cieszą się taką opieką: oręż tam wypada z ręki wrogom, ci mają się go dopiero po opuszczeniu miejsca neutralnego.

kara surowa winna była odstraszyć innych od pójścia w jego ślady. O prawie zwyczajowym Kabyłów już źródła starożytne opowiadają, że, pomimo zażartej walki pomiędzy tamtejszymi plemionami, które niewątpliwie były tak samo niewielkich rozmiarów jak obecnie, istniały targi opancerzone dniami pokojowymi: dopóki pokój istniał, każdy mógł dokonywać wymiany ze swoim wrogiem i podróżować dokąd zapragnął. I dzisiaj po upływie blisko dwóch tysięcy lat zwyczaj starodawne zachowały moc swoją, tym konieczniejszą, że szczerp kabylski jest niezmiernie porywczy, gotów do bójkii na śmierć i życie nawet o drobiazgi. Spór o dwa muzuny, tj. o tyleż centów, wszczęty na targu, przerodził się przecieź w wojnę kilkumiesięczną, w której z obu stron poległo 170 ofiar. W innym wypadku poszło o skórę kozy, napełnioną słodkimi kasztanami, a wartość 30 centów: jedna strona pozostawiła na placu 300, druga 180 martwych i 172 rannych. Niezmiernie surowe prawo zwyczajowe winno zapobiec takim zajściom. A więc targ jest miejscem neutralnym, będącym pod anaia (rodzaj gwarancji-zobowiązania) swoich właścicieli. Osoba, która nań się udaje lub zeń powraca, jest pod taką opieką na całej przestrzeni terytorium plemiennego. Członkowie plemion będących w stanie wojny tutaj spotykają się i prowadzą sprawy swoje w całkowitym bezpieczeństwie. Wszelkie przestępstwo dokonane na rynku jako zgwałcenie anaia publicznego bywa poskramiane z wyjątkową surowością. Najmniejsza kradzież pociąga karę śmierci: bez sądu, bez uprzedniego badania tłum chwyta winowajcę złapanego na gorącym uczynku i bez miłosierdzia kamieniuje go. „Istnieje specjalne prawo karne targowe. To prawo ludowe przysługuje wszystkim obecnym, jest wykonywane bez procedury, hałaśliwie i zna jedną tylko karę — śmierci. Za ledwie któryś z obecnych stwierdził czyn przestępny, a już rzuca się na winowajcę wydając okrzyk, setka głosów mu odpowiada, setka Kabyłów się zbiega, ziemia dostarcza środków kary i winowajca, straciwszy głowę, ucieka wśród gradu kamieni, które skrwawionego powalają o ziemię. Ale sprawiedliwość ludu ciągnie dalej swoje dzieło i niebawem pokaleczone szczątki trupa znikają pod stosem kamieni. Narzędzie, które go o śmierć przyprawiło, dostarcza mu gro-

bowca. Zdarzało się, iż nieszczęsnego, który ukradł kawałek mięsa, kompletnie żywcem rozszarpywano" (Hanoteau i Le-tourneux).

Z biegiem czasu usiłowano złagodzić te krwawe zwyczaje, nie uwzględniające, iż posądzenie mogło być niesłuszne. Ukażała się godność wielkiego opiekuna targu, pochodzącego zawsze z możnej rodziny w plemienu, a uposażonego w liczne pełnomocnictwa. Dbą on o wolności i przywileje swego targu i o bezpieczeństwo ścieżek i drózek, otacza opieką cudzoziemców i karze przestępców, stosując do nich kary wymagane przez prawo zwyczajowe, ale nie zaostrome w swej surowości. Z chwilą, gdy ktoś popełnił zbrodnię na targowisku, ludzie dostojnika targowego otaczają winowajcę, ażeby go osłonić przed zemstą tłumu. Winowajcę odprowadzają do pobliskiego azyłu.

Targowisko nieraz bardzo ludne podczas dokonywania transakcji, wraca po ich skutecznieniu do swego stanu pierwotnego, tj. staje się znów pustkowiem. Na nieco wyższym szczeblu rozwoju sadowi się ono chętnie tuż obok ognisk kultu religijnego, lub rezydencji możnego dynasty, albo na skrzyżowaniu szlaków handlowych. Z biegiem czasu część przybyszów pozostaje na czas dłuższy lub na stałe w jego pobliżu, zwłaszcza jeżeli targi odbywają się przy osiedlach na skrzyżowaniu szlaków handlowych i właściwie są jarmarkami trwającymi parę tygodni. Cudzoziemcy zamieszkują tam autonomicznymi slobodami wyodrębnieni od ludności miejscowej. Tak było na Rusi, w Japonii i Chinach. Stosunki takie powtarzają się obecnie tu i owdzie w Afryce nad zatoką Gwinejską i w Sudanie: cudzoziemcy przebywają tam stale i prócz przemysłów wytwórczych uprawiają rolę. Ale przybysze z każdego plemienia mieszkają w odrębnej dzielnicy. Takie ghetta dla cudzoziemców są zwykłym zjawiskiem w tym okresie wymiany i były powszechne w wiekach średnich: obowiązywały nietylko starozakonnych, ale np. Niemców w Londynie, a nawet Szwabów w innej dzielnicy niemieckiej. Jest to ostatnie ogniwo w rozwoju stosunków międzyplemiennych u wejścia do okresu cywilizacji.

Plemiona ongi spotykały się przeważnie z powodu okazji orężnej, handel rzucił pomiędzy nimi pomost: z jednej strony podważył solidarność plemieńców w stosunku do siebie, lecz

z drugiej łagodzi nienawiści międzyplemienne. Tak rozpoczęła się jego rola w zbliżeniu ludzi różnego pochodzenia.

6. Płacidła: w miarę wzrostu handlu są coraz racjonalniejsze. W miarę rozwoju stosunków wymiennych, któryś z towarów powszechnie pożądanym i powszechnie przyjmowanym zaczyna spełniać rolę płacideł. Rozwój ów już bardzo wcześnie w barbarzyństwie doprowadzi do ukazania się jakiegoś środka obiegowego ułatwiającego wymianę. Cameron znalazł się na brzegu jez. Tanganyika w położeniu niezwykłym. Nie chcąc go obchodzić potrzebował łodzi, ażeby przepłynąć się na drugą stronę. Któryś z tubylców gotów był odstąpić swoją łódź, lecz żądał zapłaty w kości słoniowej. Cameron jej nie miał: mniemając, że będzie mógł płacić za wszystko drutem mosiężnym, rozporządzał tylko tym płacidłem. Lecz dowiedział się, iż Mahomet-ibn-Salib posiada kość słoniową i gotów ją oddać, byleby otrzymał za nią tkaniny określonego rodzaju. Wiadomość ta niewiele by pomogła podróżnikowi, gdyby nie pomyślnie zdarzenie, że inny Arab posiadał takie tkaniny i w zamian za nie gotów był przyjąć drut mosiężny. Nastąpiły wędrówki od kontrahenta do kontrahenta, co wymagało aż parę dni, i odpowiedniej liczby ludzi do posługi. (W takiej samej sytuacji znalazł się Barth w latach 1849—55 w swej podróży po Sudanie). Przykład ten wystarczy, ażeby uwydatnić potrzebę istnienia towaru powszechnie pożądanego i powszechnie przyjmowanego, w którym by można było oceniać wartości towarów i który by nadto służył jako środek obiegu i gromadzenia mienia. Jak wśród malców naszych przed laty 50 stalówki, obecnie zaś znaczki pocztowe (i pocięta taśma filmowa) spełniały lub spełniają rolę płacideł, tak samo samorzutnie, bez świadomości uczestników o tym co stwarzają swoim postępowaniem, ukazały się płacidła. W każdym plemienu, a właściwie w każdym kręgu wymiennym wyglądały inaczej. Na liście takich płacideł mam kilkadziesiąt przedmiotów, a bynajmniej nie sądzę, ażebym kres osiągnął. Nawet w Afryce, gdzie kultura jest bardziej posunięta, co dzielnica, to inny towar występuje w charakterze płacideł. „Jest to pogląd zupełnie błędny, że możemy udać się dokądkolwiek w Afryce z jakiegokolwiek rodzaju paciorkami lub tkaninami. Każda dzielnica ma swoje osobliwe upodobania i gusta, które

trzeba wziąć w rachubę. Możecie przymierać z głodu obok wozów z towarami, za które gdzieindziej zdołacie nabyć całe królestwo. W jednym miejscu w porzeczu Kongo ulubioną jest barwa czerwona, w drugim błękitna, w innym zielona”.

I wśród tej różnorodności w roli płacideł występują przedmioty z naszego punktu widzenia zgoła nieodpowiednie. Np. na wyspie Yap tę czynność spełniają kamienie płaskie zaokrąglone w postaci serów szwajcarskich i ich wielkości, a nawet są większe okazy, jak zaznacza J. Kubary, niemal rozmiarów kamieni młyńskich. Żeby je przewieźć na w. Yap w wątlej łodzi z wyspy, na której je wyrobiono, trzeba było ponieść wiele wysiłków. A nawet, gdy przenoszono takie płacidło na lądzie, rzecz była kłopotliwa: przesuwano przez otwór środkowy głazu kół drewniany, a dwóch lub czterech ludzi dźwigało ten ciężar. Naturalnie płacidło to nie było codziennym środkiem obiegowym, a więc przy wymianie drobnych rozmiarów, lecz leżało przed chatą właściciela i stamtąd przenoszono je w inne miejsce w razie potrzeby. Otóż takich irracjonalnych płacideł jest wiele. Stare armaty na w. Borneo, duże starodawne wazy chińskie gdzieindziej w Malezji lub czaszki ludzkie — oto nieco takich irracjonalnych z naszego punktu widzenia płacideł. Takie przedmioty mogą występować w roli płacideł w jakiejś odosobnionej okolicy i to tylko wtedy, gdy trzeba uiszczyć kontrybucję wojenną, wykupić kogoś od grożącej mu pomsty krwawej lub ofiarować w upominku podczas wymiany darów weselnych. Ale przy zetknięciu handlowym z dalszymi okolicami kamienie yapskie, czaszki malajskie itd. idą w niepamięć. Ukazuje się wtedy racjonalniejszy surogat, który będzie dogadzał obu stronom. I właśnie w miarę wzrostu rozległości stosunków handlowych, płacidła stają się coraz racjonalniejsze, tj. liczące się coraz bardziej z upodobaniami różnych okolic. W tym rozwoju środki spożywcze nie odgrywały poważniejszej roli<sup>1)</sup>. Rzecz zrozumiała — są powszechne w każdym gospo-

<sup>1)</sup> Do liczby środków spożywczych obiegających jako płacidła naturalnie nie zaliczamy bydła. Już była mowa o jego roli jako środka gromadzenia majątku ruchomego, a w dalszym ciągu jako narzędzia obiegu. Występowało w roli płacidła jako wcielenie ówczesnego mienia ruchomego, jako wyraz zamożności i potęgi majątkowej, niekiedy jedyny na owe czasy i najbardziej poważany

darstwie jako wytwór własny. Jedynie substancje tego rodzaju jak sól w wielu punktach Afryki, pieprz w Europie średnio-wiecznej, orzechy Kola w porzeczcu Nigru, ziarenka kakao w Starym Meksyku, spełniały rolę narzędzi obiegu. Poważniejsza rola przypadła produktom służącym do ozdoby, a więc tkaninom (nasze płacić wskazuje na czasy, kiedy różne „płatki”, tj. wyroby płócienne, obiegały w roli płacideł), futrom zwierzęcym (skórkom). Aż w końcu pierwszeństwo osiągną metale jako materiał podzielny, w każdej części swojej zachowujące należytą wartość, a więc tu i owdzie żelazo jako surowiec lub w postaci narzędzi (przeważnie motyk, strzał, ostrzy) i miedź, aż póki nie dojdzie do kruszców szlachetnych, opornych na wpływy atmosferyczne i posiadających względnie dużą wartość przy niewielkiej objętości i wadze, a pożądanym jako surowiec, z którego wyrabiano ozdoby. W liczbie przedmiotów, którym wcześniej przypadła rola płacideł, miejsce poczesne należy się muszłom. Wysunięte na to stanowisko zdobniczym swoim charakterem, ustępują jedynie metalom pod względem dodatnich swoich cech w roli płacideł. W Afryce materiału na ozdoby, a później na płacidła dostarczała lub dostarcza muszla *Cyprea moneta*, w Chinach perłowa, w Ameryce południowej *Venus mercenaria*, w Polinezji przeważnie *Nasso-Callosa*.

Warto zatrzymać się nieco nad płacidłami melanezyjskimi, tak zwaną *dewarra*. Dewarra jako płacidło dość rozwiniętej więzi wymiennej sprzyja ukazaniu się wszystkich tych namiętności, które towarzyszą złotu w naszej cywilizacji: nie ma kobiety, „która by oparła się dewarze”. Wszystkie grzechy, wszystkie wady gospodarstwa towarowo-pięniężnego już tutaj się zarysowują. Te płacidła na Nowej Brytanii składają się z drobnych muszel lub krążków, nawleczonych na sznurze lub trzcinie. Istnieją różne jej jednostki, upostaciowane w krótszym lub dłuższym sznurze: od ręki do ręki poprzez piersi przy wyprostowanych ramionach, od środka piersi do jednej ręki w tej samej pozycji, od łokcia do koniuszków palców, od osady ręki do koniuszków palców, w końcu przez długość palców. Łączono je w pęczki niekiedy po setce nitek, a nawet po 600, acz

rzadko, ponieważ trudno byłoby je udźwignąć w bezpieczne miejsce w razie napadu lub w ogóle wojny. Niektóre z tych sznurów tworzą całości pełne artyzmu, przyozdobione na końcach w sposób nieraz fantastyczny. W tym wszystkim tkwi duża umiejętność, świadcząca o wysiłkach ciągnących się przez stulecia. Zdarzają się zatargi zbrojne, wywołane przez chęć zagarnięcia cudzej dewarry. Zresztą skala jednostek kształtuje się rozmaicie na różnych wyspach, przy czym w tej skali obok muszel są obecne i inne przedmioty. Na w. Isabel najmniejszą jednostkę, gdy chodzi o płacidło, tworzy kokos; następna, 10 kokosów, może być zastąpiona sznurem białych muszli lub sztuką tytoniu; dziesięć sznurów muszli białych wartością swoją odpowiadają sznurowi czerwonych muszli lub jednemu zębowi psiemu; dziesięć sznurów czerwonych muszli idą na jedną issa lub na pięćdziesiąt zębów delfina; dziesięć issa są wartością dorodnej dziewczyny, tj. kwotą za jaką można ją nabyć jako żonę. Istnieje jeszcze wyższa jednostka, obręcz zrobiona ze skały przypominającej alabaster i wartością swoją równa upolowanej głowie ludzkiej. Mieszkańcy poszczególnych osiedli, a nawet wysepek w Melanezji, zazwyczaj bardzo jałowych, trudnią się produkcją dewarry, tj. wyrobem krążków z muszli, dziurawieniem ich po środku, nanizywaniem na trzcinę lub sznury według różnych wzorów. Ta dewarra wchodzi w obieg w drodze wymiany jej przez wytwórców na produkty, zwłaszcza spożywcze. W Afryce, gdzie stosunki handlowe niewątpliwie mają za sobą większą przeszłość i gdzie krążą między innymi pojedyncze sztuki, faktorie europejskie, zmuszone do posługiwania się niemi w stosunku do tubylców, zatrudniały u siebie specjalne pracownice Murzynki, których obowiązkiem było liczenie sztuk. Niekiedy muszle były nawlekane na sznury, tą operacją w niektórych dzielnicach zajmują się żony tamtejszych dynastów. Zwykle sto sztuk idzie na jeden sznur, dziesięć sznurów na wiązkę. Lecz użycie muszli w charakterze płacidła ma swoje granice, zarówno, gdy chodzi o nie jako o środek obiegu, czy jako o przedmiot gromadzenia. W Sudanie dziesięć marek srebrnych niemieckich wartością swoją odpowiadało 20.000 sztuk kauri, krzepki mężczyzna mógł udźwignąć zaledwie 4.000 sztuk, silny zaś wielbłąd

150.000. „Gdy macie zamiar dokonać pewnej liczby zakupów, trzeba, ażeby czarny wam towarzyszył i dźwigał na swoim karku waszą portmonetkę pod postacią wielkiego worka”. I nie dziw! Za kurę żądano 150—200 kauri, owca kosztowała 3.000—5.000, krowa 20.000—30.000 itd. Użycie tego rodzaju płacideł świadczy z jednej strony o pewnym napięciu i ożywieniu handlowym. (Ale, swoją drogą, tam gdzie człowiek odbywa podróż stu lub więcej kilometrów wodą, ażeby przewieźć nieco garnków i w zamian otrzymać sago, lub wędruje piechotą z kozą lub kurą i niesie z powrotem wiązkę muszli, tam — przynajmniej pozostaje takie wrażenie — chodzi raczej jeszcze o swego rodzaju sport niż o właściwy obieg). W miarę wzrostu rozległości i napięcia handlu muszle znikają z obiegu, jak to było w Chinach, na Korei, w Japonii, może w Indiach Przedgangesowych i w Turkiestanie: pojawia się metal (naturalnie, żelazo jest mało odpowiednie na wyższym poziomie handlu — przecież pewien podróżnik francuski, zamierzając zwiedzić okolice muru chińskiego, musiał dla piątek żelaznych reprezentujących wartość paru franków nająć cały wóz!).

7. Rzut oka na obieg towarowo-pięniężny w okresie powstawania państw. Kruszcze szlachetne początkowo krążą w postaci sztab (lub „rąbli”, tj. odrąbanych kawałków), branych na wagę. (Jeszcze w połowie w. XIX srebro w sztabach krążyło jako pieniądz w Chinach z nieodzowną czynnością jego odważania i odrąbywania podczas kupna-sprzedaży i nieodłącznych od tego oszustw i sporów). Z chwilą, gdy dojdą do znaczenia rzeczypospolite handlowe miejskie lub ukazywać się zaczną ustroje państwowe, powstająca władza będzie wypuszczała w postaci monet odważone kawałki kruszczów, zagwarantowane znakiem municypalności lub panującego co do wagi swojej i jakości. Moneta zjawia się na podłożu sieci jarmarków oraz stałych targów w krótkich odstępach czasu, zwłaszcza zaś codziennej w miastach sprzedaży produktów powszechnej potrzeby. Jednocześnie w kraju poczyną się wyodrębniać prace przetwórcza od rolnej: zamiast włościanki lepiałej garnki itd. ukazują się garncarze, stolarze, krawcy, czapnicy, szewcy itd. Pierwotnie rozproszeni po wsiach lub zależni od dworów pańskich, za-



czynają ciężać ku powstającym miastom. Powstaje nowy ustrój sił wytwórczych — obok wiosek rolników, ukazują się miasta jako ogniska przemysłu wytwórczego. Pierwsze objawy tych wszystkich dążeń tkwią jeszcze w szczeblach kultury, które tutaj odtworzono, lecz rozwój w całej pełni obrotu towarowo-pieniężnego i przekształcanie przezeń stosunków społecznych odbywają się dopiero na wyższych szczeblach życia społecznego.

LOUIS KRZYWICKI

## APERÇU DU DÉVELOPPEMENT ÉCONOMIQUE AUX PREMIÈRES ÉTAPES DE LA CIVILISATION.

(Résumé)

Les régimes économiques concernant le sol  
et ses produits.

Il est bien difficile de représenter le développement de la vie économique aux premières étapes de notre civilisation à cause d'un nombre de circonstances parmi lesquelles il faut tenir compte surtout des fluctuations considérables en l'état numérique des tribus et de la diversité de la vie économique dans ces temps. Ces difficultés nous imposent la nécessité de nous occuper avant tout des tribus plus grandes et ensuite de faire une généralisation des observations concernant les conditions économiques.

A la période de chasse le territoire d'une tribu était sa propriété exclusive; de faire des incursions sur celui d'une tribu étrangère fut regardé comme une action criminelle. Autour du territoire s'étendit une zone neutre, d'abord vide, qui cependant avec le progrès des relations d'échange entre les tribus devait jouer un rôle important comme place de marchés ou de foires. A l'intérieur, l'homme primitif était l'usufruitier du sol et de ses produits, sans que les principes de cet usufruit fussent formulés. Mais en pratique la terre et ses richesses restèrent la propriété de toute la communauté. De règle l'homme qui ramassait les fruits ou chassait le gibier eut le droit de les retenir pour ses besoins mais pour la plupart il fut obligé de partager le gibier et les fruits avec ses voisins, parfois même avec toute la tribu. La manière dont ces partages furent effectués était très variée: elle dépendait du genre et de l'abondance des produits qui furent l'objet du partage, du nombre de la tribu, de la saison, et d'autres conditions

et coutumes locales. Cette contradiction entre le principe de possession collective des produits du sol et celui du droit de l'individu de les garder pour soi, fut largement récompensée par une hospitalité généreuse conçue comme un devoir social.

En ce qui concerne l'alimentation des peuples primitifs, elle était composée des produits animaux et végétaux. Même à la période de chasse ce n'étaient que les peuples habitants les terres polaires qui se nourrissaient uniquement de la viande. C'est pourquoi le ramassage des fruits, graines et racines, connu comme „récoltes sauvages“, jouait un rôle important dans la vie des peuples primitifs. De ces „récoltes sauvages“ des produits du sol se développait peu à peu l'agriculture. L'homme arrivait à exploiter la terre par des voies extrêmement variées. L'agriculture différait beaucoup de celle de nos temps puisqu'on ne cultivait que des légumes et certaines espèces d'arbres perfectionnés. Pour creuser et ameublir le sol, travail qui fut accompli souvent méticuleusement et avec beaucoup de soin, on se servit des outils primitifs à main.

L'engraisement du sol n'était pas alors connu. Pour fertiliser la terre on utilisait les cendres, produit des brûlages. Si la terre devint stérile, ou si à cause de fréquentes incendies des forêts il n'y restèrent que des bruyères, l'homme déménageait en quête des terrains plus féconds.

Dans les premières phases de l'agriculture (piochage primitif) les rapports de famille étaient réglés par le principe de répartition du travail entre l'homme et la femme, ce qui est un trait caractéristique des sociétés primitives. L'homme allait à la chasse, à la guerre et du reste — ne faisait rien, tandis que la femme s'occupait du ménage. D'abord c'était aussi la femme qui cultivait la terre, l'homme se mit à travailler dans les champs seulement dès qu'on fit usage des bêtes de somme. Tous les deux, homme et femme, avaient le droit de jouissance des fruits de leur travail. Il se passait (p. ex. chez les Hurons) que les femmes restèrent près de leurs familles même après s'être mariées, faisant ménage sous le même toit. Il existaient aussi des familles qui furent indépendantes, ou bien des individus qui eurent le droit d'exploiter un lot de terre pour soi-mêmes. En outre il y avait des lots de terre qui appartenaient à toute

la communauté familiale. Dans le cas où l'usufruitier cessait de cultiver la terre, elle redevenait propriété de la communauté. En général, cette période est marquée d'une grande variété des formes de la vie sociale.

De la période de l'agriculture primitive se développa la période pastorale; avec elle le rôle de l'homme changea. C'est à l'homme qu'il faut attribuer la domestication des animaux et leur utilisation dans le ménage, duquel il devint dès lors le maître absolu. Les modes de vie des tribus pastorales furent d'une variété considérable: on connaît des peuples presque entièrement établis (les Caffres), d'autres à demi établis, où le bétail retournait dans les quartiers d'hiver après avoir couru les steppes en été (les Kirgises), ensuite des peuples nomades dans le vrai sens du mot (les Arabes). Cependant on y trouve des traits communs: l'opulence était basée sur la propriété mobilière, c'est-à-dire les troupeaux, l'idée même de la fortune était identique avec le bétail (en langue gothique: skatts — richesse, en russe: skot — bétail). Bientôt des différences commencèrent à se manifester, mais elles furent atténuées à un certain degré par une hospitalité pratiquée généralement. Peu à peu le bétail devint la mesure de toute valeur et un instrument d'échange. Dans certains pays (l'Irlande) c'était sur le bétail que se basait un système féodal tout particulier.

La période pastorale marque le commencement de la cultivation des grains, que les tribus pastorales dans les steppes traitèrent comme occupation secondaire. Il est bien probable, que les pâtures d'hiver furent l'origine des parcelles de terre engraisées du fumier des animaux domestiques. En été, quand la tribu allait circuler sur les steppes, ses membres les plus pauvres qui n'avaient pas de bétail restèrent aux quartiers d'hiver pour s'occuper de l'agriculture.

La situation était différente quand la tribu pastorale s'empara d'un territoire étranger pour s'y établir. De temps en temps on procéda aux partages de toutes les terres de la tribu afin de les répartir successivement entre des groupes de plus en plus petits et enfin même entre des individus. L'échec d'un tel système fut suivi du développement du village où on continua de pratiquer les partages „fraternels" périodiques. La commu-

nauté du village fut solidairement responsable du paiement des taxes. Les „obščyny — domaines“ de la Russie du Nord, quoique d'origine différente furent organisés d'une manière pareille.

Les communautés rurales existaient sous beaucoup de longitudes géographiques et elles subsistèrent souvent dans les pays dans lesquels se manifestèrent des troubles et changements continuels. Les „obščyny“ russes mentionnés ci-dessus constituent un exemple classique de telles communautés: toutes les possessions du village, les champs, les prés, les forêts et les eaux appartenaient à la commune. Les partages furent exécutés de temps à autre à l'intervalle de plusieurs années de manière que tout le territoire fut divisé en des champs semblables au point de vue de la qualité du sol et des conditions du climat. Ensuite chacun de ces champs fut morcelé en tant de parcelles qu'il y avait d'âmes au village, deux enfants comptant comme une personne adulte.

Ni en Russie ni autre part la communauté n'était pas la forme primaire de dominer les terres; elle se développait de l'occupation libre des régions inhabitées. A cause de l'évolution de la culture agricole la chute de la communauté devint inévitable; elle constitua un obstacle aux entreprises des individus énergiques et à leurs efforts d'introduire des améliorations et de s'adapter aux exigences du commerce. En Russie, les communautés ne furent dissolutes formellement qu'après l'an 1861, dans les autres pays elles cessèrent d'exister plusieurs centaines d'années plus tôt.

Dans les lieux déserts où manqua l'aide des voisins, la „grande famille“ — la „zadruga“ des pays slaves du Sud — prit la place de la communauté. Elle se développait du système polygamique qui, à son tour, prit son origine du besoin d'agrandir la famille afin de lui assurer une indépendance économique et une meilleure répartition du travail. L'institution de la „grande famille“ fut connue en différents pays du monde: en Europe (Cornwall, en Italie, dans quelques régions de la France médiévale, dans les pays slaves), en Asie et en Afrique. Elle se forma par le fait que les membres adolescents et même adultes continuaient à faire le ménage commun avec leurs fa-

milles. Les causes de la chute des communautés familiales furent les mêmes que celles qui précipitèrent la dissolution des communautés rurales.

Les membres des communautés rurales ou familiales ne s'intéressèrent point des choses qui se passèrent au delà des frontières de la communauté. C'est pourquoi les notables — fondateurs de futures dynasties — pouvaient s'emparer sans obstacles des terrains de la tribu qui n'étaient pas cultivés par les membres de la communauté. Dans ce temps commencèrent à se manifester au sein des communautés des inégalités sociales qui peuvent s'expliquer par l'immigration des nouveaux, socialement inférieurs, d'une part, et par l'acroissement du pouvoir des notables et de leurs clans, d'autre part.

II. Les origines de l'économie marchande et financière. L'origine de l'économie marchande et financière est lié avec l'apparition des „trésors“, c'est-à-dire des biens amassés au dessus du besoin des possesseurs. En général, dans les sociétés primitives les „trésors“ ne furent pas trop nombreux à cause de trois raisons que voici: 1) la communauté de consommation, caractéristique des systèmes sociaux primitifs, 2) l'insuffisance du rendement du travail manuel de l'homme, 3) l'inhabilité de l'homme primitif de persévérer dans un travail, de faire des efforts systématiques. Hors ces trois causes principales il y en avait d'autres moins importantes qui rendirent l'accumulation de richesses impossible. Ce furent, par exemple: les cérémonies et fêtes de famille où toutes les réserves furent consommées; les rites funèbres pendant lesquels on démolissait toute la propriété du défunt ou parfois même de sa famille.

C'est en forme d'ornement qu'apparurent les premiers „trésors“. D'abord ils ne représentèrent qu'une valeur passive, inutile; plus tard ils commencèrent à jouer un rôle dans les transactions commerciales et devinrent même des instruments d'échange.

L'échange des biens entre les peuples prit son origine dans les cadeaux qu'on se fit à diverses occasions. Une des formes des relations d'échange primitives était l'échange „muet“ (the silent trade). Il fut pratiqué de façon qu'une personne qui n'avait pas de confiance en une autre et fut parfois même mal

disposée contre elle, mettait l'objet d'échange dans un lieu convenu auparavant et l'autre y plaçait ensuite un équivalent. Le développement des relations d'échange était conditionné par la géographie, le climat et le sol des pays avoisinés.

Aux temps de la naissance du commerce ce n'étaient que les objets de valeur utilitaire qui devenaient instruments d'échange. D'abord le trafic entre les tribus se fit surtout dans la zone neutre entourant les territoires ou, s'il n'y en avait pas, sur les frontières. C'était bien plus tard que les relations d'échange furent localisées et limitées à certaines périodes de l'année — on est arrivé à la création des foires.

Au cours du temps, certaines marchandises devenaient des moyens de paiement. Chaque tribu en avait d'autres et souvent ce n'étaient que des objets du point de vue économique absolument sans valeur. Ce caractère irrationnel des relations d'échange disparût avec le développement du commerce; les objets utilitaires, les denrées et autres furent faits moyens de paiement, pour faire ensuite place aux métaux, en particulier aux métaux précieux qui n'avaient d'abord pas de formes définies et qu'on évalua par le poids.

L'échange provoque d'autres transformations sociales: le travail devient spécialisé, les métiers et les professions commencent à se manifester, les villes deviennent centres de l'industrie. Cependant ces phases des relations d'échange appartiennent déjà à l'histoire de l'économie marchande et financière sur un niveau plus élevé de la vie sociale.

